WITOLD ŁASZCZYŃSKI

WYSOKI PRÓG

POEZJE

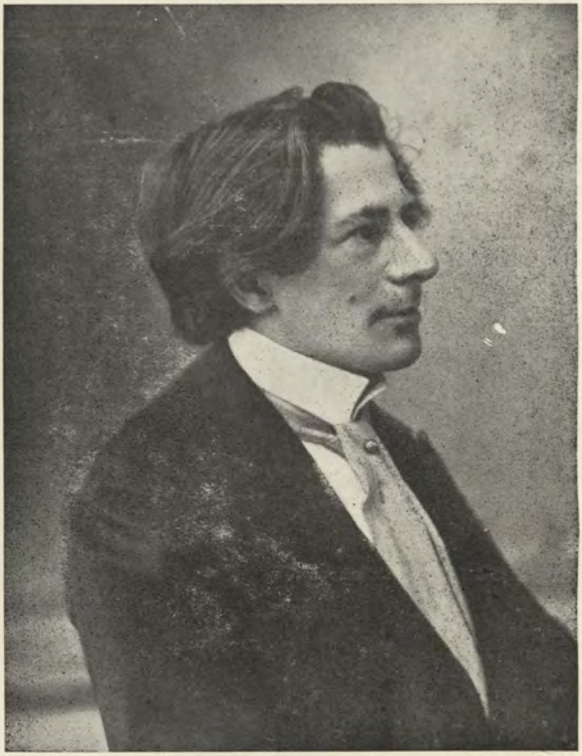
Z PRZEDMOWĄ ANTONIEGO BOGUSŁAWSKIEGO
ŻYCIORYSEM AUTORA PRZEZ HENRYKA JANCZEWSKIEGO
SŁOWEM MIECZYSŁAWA SMOLARSKIEGO I EDMUNDA KECLA

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
SPÓŁKA AKC.

WARSZAWA

1932.

4,-



WITOLD ŁASZCZYŃSKI

POEZJE

WITOLDA ŁASZCZYŃSKIEGO

WITOLD ŁASZCZYŃSKI

POEZJE

III

1857.

WYDANIE JUBILEUSZOWE
NAKŁADEM KOMITETU POD PRZEWODNICTWEM
WITOŁDA BUNIKIEWICZA

WARSZAWA
1932

WITOLD ŁASZCZYŃSKI

WYSOKI PRÓG

POEZJE

Z PRZEDMOWĄ ANTONIEGO BOGUSŁAWSKIEGO
ŻYCIORYSEM AUTORA PRZEZ HENRYKA JANCZEWSKIEGO
SŁOWEM MIECZYSŁAWA SMOLARSKIEGO I EDMUNDA KECLA

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
SPÓŁKA AKC.

WARSZAWA
1932

DRUK. S. JABŁOŃSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 52, TEL. 8.17 34.

WITOLD ŁASZCZYŃSKI

(Sylwetka literacka).

Gdy w dniu 26 kwietnia roku 1931 święcono 35-lecie pracy pisarskiej Witolda de Verbno Łaszczyńskiego, z mównicy padły szczere życzenia, aby w ślad za dwoma tomami, wydanemi w roku 1899 i 1923, ukazały się rychło tomy następne, zawierające wszystko, czego tamte nie pomieściły. Życzenia te urzeczywistniły się prędzej, niźli w dobie kryzysu ogólnego, a od tak dawna już — wydawniczego, spodziewać się było można. Serca ludzkie są dobremi wróżami, bo oto leży przed nami znaczny objętością i ważki zawartością tom trzeci poezji Łaszczyńskiego, dawniej kryjącego się pod pseudonimem *Alf*. W ten sposób rozproszone przez tyle lat po łamach czasopism utwory, niektóre nie drukowane nawet, ale wprost rzucane w tłum z estrady koncertowej — znajdują się razem i wymagać będą oceny, jako zjawisko literackie. Nie znaczy to, aby poprzednie tomy, albo nawet poszczególne poezje, krytyka pomijała milczeniem. Słuszną jest jednak

rzeczą, aby wypowiedzieć o nich sąd ogólny już pod kątem dnia dzisiejszego.

Nie dzisiejszym poetą jest Witold Łaszczyński. Począwszy od jego wallenrodowskiego pseudonimu, a skończywszy na charakterystycznej o długich włosach i staroświeckim, rzekłbyś, profilu postaci, widać w nim od pierwszego rzutu oka konsekwentnego potomka epoki romantycznej. Przyznaje to sam, kiedy mówi:

Na zapomnianej lutni gram,
Na zardzewiałych strunach,
I pieśni dawne niosę wam —
W łzach, śmiechu i piorunach.

W świetlanym blasku gwiazdy mej,
W księżyca świetle bladem,
Śród fantastycznych gór i kniej
Lutnistów dążę śladem.

Szyderstwo biegnie za mną w ślad,
Lecz z czołem podniesionem
Przez ten szyderczy idę świat
Za Goethem i Byronem...

(„Moja Lutnia")

Trzeba przyznać, że nie są to bylejacy patronowie poetyccy. Pozostaje przekonać się, czy Łaszczyński nie używa ich imion nadaremno.

Stwierdzić można, że od mistrzów swoich wziął Łaszczyński wielką, coraz rzadziej spotykaną rzecz—

szlachetność tonu wraz *z wytwornością formy*. Niedarmo jako motto wypisuje w jednem miejscu aforyzm z Boileau: „Quoi que vous écriviez, évitez la boue”. On oddziela się tylko od merkantylności życia, chroni się od niej na „wysoki próg” swej poetyckiej samotni. Ale próg ten nie jest niedostępny:

Wysoki domu mego próg,
Dla tych się jeno zniża,
Co wchodzą z znakiem krzyża,
Gość w dom — to jakby w domu Bóg!

. . . .

Jam możny w domu mym jak król,
I szczodry i wspaniały:
Dla braci skarb mój cały,
A dla mnie jeno łzy i ból!

Może najlepszą syntezą własną Łaszczyńskiego jest ten jego wiersz. Nie sztuka dla sztuki, ale sztuka dla służenia *sprawie wielkiej*, która *natchnieniem* poi serce poety.

Jakżeby płaskim był w swych sądach krytyk, któryby niewątpliwą (zwłaszcza w epoce przedwojennej i wojennej) popularność Łaszczyńskiego chciał traktować zwysoka, jako „estradową”. To przecież właśnie dowód literackiej *żywotności*. Dzieje się coś w Polsce, coś zatarga sercami — lutnia Łaszczyńskiego oddźwięka na to nutą taką, czy inną, ale zawsze szczerą i własną. Niema nieraz czasu na

wydrukowanie wiersza, bo oto w żywem słowie bieży on w świat z estrady. Powie kto, że to jest udział „wierszy okolicznościowych". Czas-by był skończyć z tym oklepanym nonsensem. Każdy wiersz jest okolicznościowy, jeżeli go zrodziło życie. Czemże było „Do przyjaciół Moskali" Mickiewicza? Czemże wiersz Słowackiego „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi"? Tego tylko brak, aby pyszałkowaty mądrala przylepił na tym ostatnim etykietkę: „albumowy" — by uspokoił się w swojej pysze. Narzucanie poetom takich etykietek jest, niestety, upartą właściwością naszych czasów.

Utwory Łaszczyńskiego, bez względu na ich rozmieszczenie w druku, podzielićby się dało na kilka grup odrębnych. Pierwszą stanowią *liryki*, o podłożu raczej refleksyjnem. Przedmiotem ich jest wiara w Boga, w czystość i miłość, zew do zgody i uczuć bratnich. Pierwiastek erotyczny jest z nich niemal wyłączony. Łaszczyński potrafi podać damie swego serca różę, ale długo się waha, zanim końca jej rękawiczki dotknie pocałunkiem. Niepoprawny romantyk. Liryki te znajdziemy w pierwszym jego tomie (wyd. Fiszera, Warszawa, 1899). Śliczne scherzo „Olesia" stanowi pewien swawolniejszy, lecz jakże subtelny, odskok w tej kategorji utworów.

Poezje historyczne (również w tomie pierwszym i obecnym) stanowią grupę drugą. Dwa cykle: „Stara Warszawa" i „Anno Domini" składają się na tę grupę, dającą wyraz ukochania przeszłości.

Z mego okna, co jest w starej
Kamienicy po-mieszczańskiej,
Przy ulicy Świętojańskiej,
Wprost Pijarów, wpoprzek Fary,
Choć brak światła, perspektywy —
Obraz starej mam Warszawy:
Barwny, chociaż nie jaskrawy,
Niewesoły, ale żywy!...

Miłość Łaszczyńskiego dla przeszłości — to nie wyraz ukochania „antyków", ale potrzeba serca. Poeta naprawdę tu mieszka, naprawdę wśród tych murów czuje się u siebie. Tradycja szlachecka, tradycja staromiejska kroczą zgodnie obok siebie, jak w Boże Ciało na procesji katedralnej. Oczywiście, kto tych rzeczy sercem nie czuje, temu nie będą się podobały. Ale to nie wina poety.

Trzecią grupę nazwałbym *poezjami publicystycznemi*. Są one liczne, bardzo rozproszone, bo te głównie wyrywało autorowi życie, aby rozrzucać je po łamach pism warszawskich oraz po notatnikach artystów. Wiele z nich datuje się z wojny. Mają plastykę, mają szczery ból zranionego polskiego serca — są dokumentami chwili. Nie wiedziałbym, czy cytować tu urywek ze „Zdobycia Warszawy (5 sierpnia 1915 roku)", czy „Koszulę żołnierza", epizod z r. 1920. Łaszczyński nigdy nie żałował chwili, strawionej na pisaniu wiersza, dla Polskiej Macierzy Szkolnej, na Dom Akademicki i t. p. Gorący to *społecznik*, społecznik czynny, który nie

uważa dla swego pióra za ujmę, aby poszło służyć dobrej sprawie. Czy bardziej obniża przez to swój lot poetycki niż ci, którzy płodzą *sketch'e* rewjowe?

Poezje sceniczne stanowią w dorobku Łaszczyńskiego pozycję czwartą, ilościowo bardzo poważną. Poeta żył sam pewien czas życiem teatru, nic więc dziwnego, że w formie scenicznej próbował się wypowiedzieć. W tomie pierwszym znajdujemy komedję w 1 akcie „Arja z „Halki". „Wajdelota — Pieśń o szczęściu" (1923. Gebethner i Wolff, Warszawa, — 1928, wydanie 2) jest *syntezą filozoficzną* poglądów autora na życie, rozwiązaną dramatycznie. Wymaga on obszerniejszego studjum*) (krytyki miał wyborne**). Wreszcie „Faworyt królowej", dramat drukowany fragmentarycznie, i „Król Herod", jasełka, drukowane w „Wędrowcu" i „Naszych Kłosach (grane 120 razy) — zamykają ten dział.

To prowadzi nas wprost do *przekładów* Łaszczyńskiego. Nie wszyscy pamiętają, że on to we-

*) „...Duch rycerskości trwa dotychczas w literaturze... Dramaty Calderona i Piotra Corneille, ballady Schillera, romanse Walter-Scotta, poematy Byrona, cały zastęp polskich romantyków i współczesnych nam ich następców (Deotyma, Asnyk, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Konopnicka), a w ostatnich czasach Edmund Rostand—są tego twierdzenia najlepszym dowodem. Do wyżej wymienionych romantyków polskich ma słuszne prawo być zaliczonym Witold Łaszczyński, autor rycerskiego w całem znaczeniu tego słowa poematu „Wajdelota". Prześliczny ten utwór jest niedoceniony, podobnie jak arcydzieła Deotymy. Przyjdzie jednak czas...": *Ks. Witold Czeczott.*

**) Józef Jankowski, Józef Kotarbiński, Wacław Wolski, Stefan Górzyński, Żegota Korab i in.

spół z Włodzimierzem Zagórskim i Marją Konopnicką był wybornym tłomaczem rostandowskiego „Cyrana". Jędrność i ścisłość przekładu jest zdumiewająca*), a Łaszczyński w tej pracy *magna pars fuit.* Przygotowanie miał znakomite, bo przełożył niejeden w życiu utwór, zwłaszcza z umiłowanych romantyków, jak Goethe, Schiller, Lenau i Uhland. Nie mogło nie porwać *panache* rostandowskiego bobohatera, który przecież był pomyślany jako kwintesencja gallijskiego romantyzmu.

* * *

Acz niechętnie porozkładaliśmy do szufladek płody natchnienia poety, szeregując to, co niekoniecznie do szeregu było stworzone. Taki to los, gdy obca, choćby najprzyjaźniejsza, ręka tknie się dorobku poetyckiego. Za to widoczna nam się staje *rozpiętość talentu* Witolda Łaszczyńskiego, który więcej ponad jedną strunę na swej harfie pieści. Po za *techniką pieśni* dźwięczy w niej coś sto-

---

*) „Ażeby w ten sposób przetłomaczyć nie jakieś kilka lub kilkanaście stron, ale cały utwór—trzeba być prawdziwym mistrzem języka". *Andrzej Niemojewski.*

„Przepyszne brzmienie rostandowskich wierszy, odlanych w szczerem złocie przez trójkę takich tłomaczy, jak Zagórski — Konopnicka — Łaszczyński".
Kornel Makuszyński.

„Brawurowy przekład Konopnickiej, Zagórskiego i Łaszczyńskiego sprawił, że „Cyrano de Bergerac" Rostanda należy nietylko do francuskiej, lecz w równej mierze i do literatury polskiej". *Wacław Grubiński.*

kroć wyższego, coś, czego się nie nabywa — własne poety *serce*. Ogarnia ono: ludzkość, naród, bliźnich. Służy Bogu i dobru, a służy po rycersku i po poetycku — *bezinteresownie*.

To też na tę strunę serdeczną — oddźwiękują serca. I dlatego ani przez życie polskie, ani przez poezję polską—Witold Łaszczyński nie przejdzie bez śladu.

Antoni Bogusławski.

PRACA SPOŁECZNA ŁASZCZYŃSKIEGO.

(Referat wygłoszony na Akademji jubileuszowej w Sali sztandarowej Ratusza w Warszawie, dnia 26 Kwietnia 1931 roku).

Uczczą Kraszewskiego pomnikiem rodacy,
Lecz ów pomnik nigdy nie przewyższy tego,
Jaki sobie nestor sam zbudował z pracy,
Bo ten będzie trwalszy od marmurowego!

Temi słowy 14-letni *Pegaz skrzydlaty* uczcił nestora pisarzy polskich — tytana pracy — Kraszewskiego w pierwszym swoim drukowanym wierszu w „Przyjacielu Dzieci". Czyż to nie zrządzenie Opatrzności, że Witold Łaszczyński już w zaraniu swojej młodości złożył hołd pracy, że w nieustannej pracy życie całe przebiegł, a nadewszystko, że... wytrwał!

Ojciec Adam de Verbno Łaszczyński, za udział w powstaniu 1863 r. zesłany do Kunguru, po powrocie z Syberji założył tygodnik satyryczno-humorystyczny p. t. „Kurjer Świąteczny" i był jego redaktorem przez ćwierć z górą wieku; słynny z dowcipu i znakomity myśliwy — stał się popularną i lubioną, jak pisze Antoni Żwan, postacią sfer towarzyskich ówczesnej Warszawy; zamiłowany w podróżach — wyjeżdżał co rok zagranicę, zwłaszcza na kongresy prasowe do Wiednia, Budapesztu, Bukaresztu, Berlina, Brukselli i Paryża, gdzie był członkiem rzeczywistym „Association Littéraire Internationale" pod prezydencją Wiktora Hugo.

Syn wychowuje się bardziej pod troskliwą opieką matki, Marji z Prawdziców Łukomskich, rozmiłowanej w historji, poezji i muzyce — kochającej bardzo jedynaka, ale bez ujawniania tkliwości, czułości, pozornie niemal surowo — po spartańsku.

Chłopiec wzrasta wśród pamiątek i tradycji rodzinnych, w atmosferze literackiej i patrjotycznej. W 25-tą rocznicę powstania 1863 r. — za przyrodniego swego brata Adolfa Zaleskiego, poległego w potyczce z Moskalami w puszczy Kampinoskiej, matka każe 16-letniemu Witoldowi zmówić modlitwę — a natchnienie każe mu wyśpiewać: „Hymn na cześć powstańców 1863 roku":

Cześć wam powstańcy, cześć wam Lechji wierne dzieci,
Coście w rok tysiąc ośmset sześćdziesiąty trzeci

Powstali, aby zrzucić niewolnicze pęta!
Niechaj wie Europa, niech tyran pamięta:
Dzisiaj Polska przykuta do niewoli skały,
Lecz wkrótce zerwie więzy — wolny Orzeł Biały!

— oraz „Odę do Wolności”:

. . . .
O wolności nasza złota!
Tyś jest dziełem Stwórcy Pana,
A więc biada dla tyrana,
Co powstaje na twe syny
I więzami na nie miota.
My za własne cierpim winy,
Lecz po karze znów zagości
Czas wolności!
. . . .

W latach chłopięcych czas wolny od nauk Łaszczyński spędza na terenie Ogrodu Saskiego, który dla niego i jego rówieśników jest miejscem zabaw i rozrywek. Fakt pozornie błahy — jakże jednak przełomowy w życiu młodego chłopca! W pobliżu posągu Jowisza, na ławce pod rozłożystym kasztanem siaduje tam codziennie Ludwik Niemojowski, autor „Obrazów z Syberji”, i przygląda się bawiącej dziatwie — zbierając z niej zarazem wzory i tematy do swoich wierszy, drukowanych co tydzień w „Przyjacielu Dzieci” — a wieczorem, kiedy młodzi „milusińcy” poszli już do domu spać, pozostałym star-

szym chłopcom opowiada przyciszonym głosem, aby jaki szpieg nie podsłuchał, o powstaniu i 11-letnim swoim pobycie na Syberji. W gronie słuchaczy jest młodociany Witold Łaszczyński. Dawny powstaniec zaleca chłopcom, ażeby ani na chwilę nie przestali być Polakami i nie ustępowali w niczem co polskie. Kiedy więc rząd rosyjski w czasie owym wycofał ostatecznie z obiegu dawne polskie grosze i trzygroszniaki — chłopcom żal się zrobiło tych ostatnich śladów państwowości polskiej i do swego handlu marek używali, zamiast pieniędzy rosyjskich, porobione z kolorowych okładek kajetów własne „czerwone złote" i „dukaty" z wyciśniętemi na nich polskiemi orłami z ocalonych dawnych monet, których użyli pomysłowo za sztance. Zgubiony przez jednego z chłopców „czerwony złoty" znalazł policjant i aresztował trzech najbliższych zguby: Łaszczyńskiego i jego dwóch kolegów (Klimowicza i Boreckiego). Aresztowanych zaprowadzono na ulicę Bielańską do kancelarji naczelnika żandarmerji jenerała Brocka i poddano rewizji — na szczęście bez wyniku. Pozostali koledzy dali znać rodzicom aresztowanych. Matka Klimowicza z domu Dowiakowska — jako pierwsza śpiewaczka opery warszawskiej znała osobiście najwyższe figury urzędowe, pośpieszyła więc do oberpolicmajstra jenerała Buturlina, który, będąc również zapalonym nemrodem, zapomniał uiścić się z długu ojcu Łaszczyńskiego za wziętą z jego zbiorów myśliwskich „Lancastrówkę" i dwa „Lefauchetty". Obie te dobre znajomości z „synem cesarskim" po-

skutkowały: po czterech godzinach chłopcy zostali uwolnieni — sprawę zatuszowano.

Kasztan Niemojowskiego w Saskim Ogrodzie staje się dla młodzieży kuźnią patrjotyzmu. Poeta-weteran, pod osłoną nocy i dochodzących z Teatru Letniego głosów solistów i chórów oraz dźwięków orkiestry, dawano w nim bowiem wówczas opery, deklamuje „Przedświt" i „Psalmy" Krasińskiego. Porwani siłą wiary, z jaką Niemojowski arcydzieła naszego wieszcza odtwarzał — chłopcy, biorąc sobie za wzór martyrologję polską, postanawiają stać na straży ducha narodowego i Polski.

Łaszczyński pisze gorące wiersze patrjotyczne: „Pobudkę", „Legendę Polską", „Polaka" i inne. Wiersze te, rzecz oczywista, nie mogły być drukowane ze względu na cenzurę w „Przyjacielu Dzieci", ani w „Wieczorach Rodzinnych". Łaszczyński ze swymi rówieśnikami zakłada więc pismo tajne p. t. „Młody Świat". Na łamach tego tygodnika zamieszczali młodzi autorzy, unikając cenzorskiego ołówka, wiersze i artykuły treści patrjotycznej.

W piśmie tem ukazał się po raz pierwszy w Warszawie słynny wiersz znanego dramaturga z Poznańskiego, Kościelskiego, zaczynający się od słów:

Marsyljanka w Peterhofie!
Czy wiesz, carze, co to znaczy?
W każdym wierszu, w każdej strofie

Gniew narodu!...

oraz wiersz Niemojowskiego „Mickiewicz na Wawelu".

Kiedy wydawano „Młody Świat" — szła po świecie sława wzniesionej niedawno wieży Eiffla w Paryżu; Łaszczyński, upatrując w niej wieżę ludów, z której kiedyś hasło wolności wezwie je do zerwania kajdan niewoli, napisał proroczo:

„Nie czas nam powstać, aż zespolim duchy!
Gdy jak mąż jeden staniem u wyłomu,
Same z ciał naszych opadną łańcuchy,
Wstrzymać tych więzów nie będzie już komu.
Na dźwięk ich tyran pozostanie głuchy,
Choć się rozlegnie na kształt niebios gromu,
Własny upadek sił ciała i duszy
Jeszcze go bardziej niż ów dźwięk zagłuszy.

Nie czas nam dzisiaj i nie jutro jeszcze!
Ale *niedługo z wielkiej ludów wieży*,
W której cykają teraz sekund świerszcze,
Oczekiwana godzina uderzy!
A na jej hasło spłoną ćmy złowieszcze
W ogniu tysiąca huczących moździerzy —
Wówczas i dla nas godzina wydzwoni —
Do broni, Polsko, do broni, do broni!"

Trzylecie wydawania „Młodego Świata" było okresem, który dał podstawy organizowania młodego pokolenia i organizacji wogóle, a nadewszystko i upór

i zaciętość w realizowaniu haseł i ideałów narodowych.

Rok 1902 zastaje Łaszczyńskiego na stanowisku kierownika literackiego „Naszych Kłosów.” Młody redaktor na szpaltach wielce poczytnego tego tygodnika zgromadził najcelniejsze utwory pierwszorzędnych pisarzy: Deotymy, Konopnickiej, Langego, Bożydara, a z młodych Józefa Ostroroga, Leona Rygiera i Zygmunta Różyckiego. Korzystał zawsze z każdej sposobności przypominania społeczeństwu wielkiej przeszłości narodu — czy to rocznicy Jana Ostroroga, Zamoyskiego, Chopina, Bohdana Zaleskiego, Witwickiego, czy bitwy pod Grochowem, czy wreszcie postawienia przed oczami rodaków największej chwały i największego tryumfu oręża polskiego—odsieczy wiedeńskiej, z powodu wydania pierwszych pieśni Deotymy o „Sobieskim pod Wiedniem”.

Łaszczyński między linjami przemycał rzeczy, nie poddające się cenzurze rosyjskiej. Ażeby módz umieścić wiersz Witwickiego o bitwie pod Grochowem, trzeba było zrobić zestawienie z batalistyką rosyjską z obrazów Wiereszczagina... Była to utrudniona bardzo, ale patrjotyczna akcja społeczna w walce z cenzurą rosyjską.

W roku 1906 Łaszczyński został założycielem i dyrektorem Teatru Młodzieży Pracy, który z kolei— po zalegalizowaniu statutu, co kosztowało inicjatora wiele trudu i... pieniędzy dla otrzymania zezwolenia — przekształca się na Towarzystwo Teatralne

Warszawskie im. Wojciecha Bogusławskiego. O pierwszem przedstawieniu Teatru Łaszczyńskiego, na które złożyły się sztuki: „Majster i czeladnik” Korzeniowskiego oraz „Błażek opętany” Anczyca, poprzedzone „Prologiem” Łaszczyńskiego — pisał Adam Dobrowolski w listopadzie 1906 r. w „Kurjerze Warszawskim”: „Grono grających, przygotowane starannie, wywiązało się z zadania jaknajpomyślniej. W grze wykonawców była szczerość i prostota ujmująca, która świadczyła o przejęciu się serdecznem odtwarzanemi postaciami. Z prawdziwem zadowoleniem śledziliśmy przebieg tego pierwszego przedstawienia teatru pod dyrekcją Witolda Łaszczyńskiego, który ma swoje społeczne znaczenie i zasługuje nietylko na baczną opiekę i uwagę prasy, ale i na poparcie najszerszego ogółu”.

Towarzystwo Teatralne Warszawskie zaczęło się rozwijać. Łaszczyński, prezes, dyrektor i reżyser w jednej osobie, stworzył własny repertuar w 90% składający się ze sztuk autorów polskich, takich jak: „Kasper Karliński” (Obrona Olsztyna) i „Wyrok Jana Kazimierza” Syrokomli, „Mazepa” i „Mindowe” Słowackiego, „Obrona Częstochowy” Bośniackiej, „Karpaccy Górale” Korzeniowskiego, „Zbyszko i Danusia (z „Krzyżaków” Sienkiewicza) Popławskiego, „Bogusławski i jego scena” Rapackiego, a z tłomaczonych: „Zbójcy” Schillera, „Ojcze nasz” Coppée’go i w. in. Repertuar lżejszy stanowiły przedewszystkiem komedje Fredry: „Damy i huzary”, „Gwałtu co się dzieje”, „Pan Jowialski” i „Śluby panień-

skie", Ludwika Niemojowskiego „Owoc zakazany", Bałuckiego „Klub Kawalerów", Cyprjana Godebskiego „Miłostki ułańskie", Kucza „Ulica nad Wisłą" (Kometa w Warszawie) i wiele innych. Grano prawie na wszystkich scenach w Warszawie, a więc: w Teatrze Letnim w Ogrodzie Saskim, w Dolinie Szwajcarskiej, w Teatrze Bagateli, w Teatrze Dramatycznym, w Teatrze na Dynasach, w Teatrze Elizeum, w Teatrze Współczesnym, w Teatrze Popularnym, w teatrach na Pradze, Woli i w Mokotowie.

Prasa warszawska, doceniając znaczenie działalności Towarzystwa Teatralnego Warszawskiego chętnie zamieszczała o nim recenzje i wzmianki. I tak: „Dzień" w styczniu 1912 r. pisał o wystawieniu „Karpackich Górali" Korzeniowskiego: „Podnieść należy grę artystów, stojącą nietylko na wysokości zadania, ale przekraczającą nawet skalę wymagań, stawianych scenie popularnej. Zaznaczamy poważny i umiejętny wybór sztuk, oraz widoczną dbałość kierownika sceny Łaszczyńskiego o czystość dykcji grających". „Kurjer Warszawski" w marcu 1912 r. między innemi tak pisał o wystawionym dramacie Witolda Łaszczyńskiego „Ninon de Lenclos": „Faworyt królowej" dramat Witolda Łaszczyńskiego nosi wszelkie cechy talentu tego poety. Potoczysty, poprawny pod względem rymu i formy wiersz, piękny język i szereg scen o silnem napięciu dramatycznem — oto zalety, składające się na zajmującą całość odegranej w sali teatralnej sztuki. Artyści, stanowiący zespół wykonawczy Warszawskiego To-

warzystwa Teatralnego im. Wojciecha Bogusławskiego — to nie grupa dyletantów, to zgrani ze sobą rutynowani aktorzy, którym ani warunków scenicznych, ani talentu nie brak. Chętnie też zawsze są witani i oklaskiwani".

W „Kolcach" w marcu 1912 r. czytamy:

Na Dynasach co niedziela
Teatr ludzi rozwesela!
Dokonało cudu tego
Towarzystwo *Łaszczyńskiego*:
Rżnie komedje i dramaty,
Wodewile te z przed laty,
Gdzie muzyczka lekka, swojska
I *polskiego typy wojska*,
I tej dawnej szlachty wzory,
Starych mieszczan liczne zbiory,
I każdemu ujrzeć miło,
Jak to dawniej u nas było!

W „Dniu" w marcu 1912 r. dr K. Niedzielski, omawiając wystawioną „Emigrację chłopską" Anczyca, tak się wyraził: „Teatr na Dynasach wystawił „Emigrację chłopską" Anczyca, jedną z najlepszych, jeżeli nie najlepszą polską sztukę ludową. Dramat ten widziałem kilka razy, grywany na różnych scenach i powiem, że na Dynasach odegrano go najlepiej. Teatr na Dynasach posiada niewątpliwie wyróżniające się uzdolnieniem siły dramatyczne".

Działalność Towarzystwa Teatralnego Warszawskiego im. Wojciecha Bogusławskiego nie ograniczała się jedynie na terenie Warszawy. Młodzi aktorzy wraz ze swoim dyrektorem urządzali przedstawienia na prowincji, a nawet we wschodniej części b. Kongresówki, co nie było łatwe do zrealizowania. Aczkolwiek grano sztuki cenzurowane i Towarzystwo miało prawo urządzać przedstawienia w „10 guberniach Królestwa Polskiego", trzeba było jeszcze zezwolenia naczelników powiatów. Sprawy te załatwiał młody adwokat warszawski Stanisław Pawiński (syn historyka), który w tej mierze wielkie usługi oddał Towarzystwu. Z dwiema butelkami dobrego wina i egzemplarzem ocenzurowanej sztuki stawał Pawiński przed obliczem naczelnika powiatu. Po opróżnieniu butelek udobruchany naczelnik kazał sobie czytać sztukę i był... wzruszony. „Prekrasnaja pjesa!" — zawołał jeden taki dygnitarz rosyjski po przeczytaniu „Obrony Olsztyna" Syrokomli i łaskawie udzielił zezwolenia.

Największe trudności były w Siedleckiem i Łomżyńskiem, na granicach Grodzieńszczyzny, jak np. w Ciechanowcu nad Nurem — gdzie trzeba było różnych forteli i wybiegów, ażeby módz się tam z teatrem polskim zjawić i wystawiać takie sztuki polskie, jak „Kasper Karliński", „Wyrok Jana Kazimierza" i „Obrona Częstochowy".

Pokazanie ludowi polskiemu polskich narodowych historycznych sztuk, polskich kostjumów, polskich skrzydeł i karabel, rycerstwa, śpiewającego

„Bogarodzicę" — budziło uczucia patrjotyczne, nie dawało sumieniom polskim zapomnieć o Polsce.

Teatr Łaszczyńskiego, wyjeżdżający na krańce Kongresówki, wyprzedził o wiele lat wyjazdy dzisiejszej „Reduty", a nie było dosłownie miejscowości pod Warszawą, w którejby nie dawał przedstawień.

Towarzystwo Teatralne Warszawskie pod dyrekcją Łaszczyńskiego w przeciągu swojej 10-letniej działalności dało zgórą 500 przedstawień i około 100 koncertów. Repertuar składał się z przeszło 40 sztuk, popularyzujących wśród mas historję polską, poezję i muzykę. Jednocześnie Teatr Łaszczyńskiego spełniał zaszczytne zadanie kształcenia młodych aktorów, z których wielu występuje obecnie nieledwie na wszystkich scenach polskich *).

Na podkreślenie zasługuje fakt, że Towarzystwo Teatralne Warszawskie pod dyrekcją Łaszczyńskiego znikąd nie było subsydjowane, że przez przeciąg 10 lat do wojny europejskiej było samowystarczalne! Widać w tem pewien upór, upór, płynący z pobudek altruistycznych — ukochania narodu i piękna. I za największą nagrodę za trudy poniesione uważał sobie Łaszczyński słowa mistrza Wincentego Rapackiego, który pewnego

---

*) Batogowski (†), Paweł Karszo-Chmielewski, Cichaczówna (Karska), Juljusz Kalinowski, Jan i Kazimierz Daszewscy, Dzieszkowska (Oretti), Habrowska, Madziarówna, Ostrowski, Aleksander Rutkowski, Sienkiewicz, Skolimowska, Szafrański, Strycki, Szpakowska (†), Szubartowski, Szoslandówna, Zajączkowski, Zembrowski.

razu, uściskawszy go serdecznie, powiedział: „My, aktorzy, w teatrze dużo mówimy o tobie, panie Witoldzie, cenimy cię, podziwiamy i zazdrościmy twoim młodym aktorom, iż grają w takich sztukach, jak „Karliński" i „Wyrok Jana Kazimierza", o których my możemy jedynie marzyć, bo ich już, niestety, nasze teatry nie grają...". Stary płatnerz Krauze, rekwizytor Warszawskich Teatrów Rządowych, ubierając do „Karlińskiego" młodych aktorów Łaszczyńskiego, ze łzami mówił: „Pan wystawia taką piękną sztukę... Ja znałem pana Syrokomlę, autora tego dramatu, ja grałem w tej sztuce!".

Wielokrotnie w ciągu szeregu lat współpracuje Łaszczyński w imprezach na rzecz Polskiej Macierzy Szkolnej, Towarzystwa Kultury Polskiej, Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, Kół Wpisów Szkolnych oraz Związków Rzemieślników Chrześcijan i Robotników Chrześcijańskich, gdzie urządza popularne wieczory, poświęcone 100-leciu Chopina, 900-leciu Chrobrego, 500-leciu Grunwaldu, poezji i muzyce polskiej.

W roku 1924 Łaszczyński jest jednym z założycieli Stowarzyszenia „Polska Młoda", od 1929 r. „Młoda Polska Społeczna", które skupia przedewszystkiem młodzież akademicką, a dalej inteligencję pracującą, i ma za zadanie wychowywać młodzież do pracy ofiarnej, zgodnej i twórczej w rozrastającej się i potężniejącej Polsce. W pracy swojej na terenie „Młodej Polski Społecznej" jako przewodniczący Sekcji artystyczno - literackiej hołduje

zasadzie, iż powtarzanie i przypominanie jest matką mądrości, ztąd nie pomija żadnej wielkiej rocznicy i przypomina ją społeczeństwu, urządzając obchody ku czci Chopina, Kraszewskiego, Asnyka, Kornela Ujejskiego, Włodzimierza Zagórskiego—autora „Króla Salomona”, Ludwika Niemojowskiego, Ogińskiego — twórcy pierwszych polonezów, Szymona Konarskiego — emisarjusza patrjoty, Aleksandra Świętochowskiego i sławnych podróżników polskich (od Marcina Polaka i Jana z Kolna do Rogozińskiego i Ossendowskiego) i in.

Czy w pracy na terenie więzień warszawskich, czy przy urządzaniu prelekcji, pogadanek i uroczystości narodowych na peryferjach miasta, tam, gdzie niejednokrotnie z wielkim trudem płomień oświaty dobiega — tam zawsze młodzież akademicką Łaszczyński skierowywał.

W 1928 — 1930 był przewodniczącym Komitetów wielkich uroczystości narodowych w stolicy: obchodu 20 ej rocznicy zgonu Deotymy, 70-ej — Zygmunta Krasińskiego, 300-lecia urodzin Króla Jana III Sobieskiego i 70-ej rocznicy — Ignacego Paderewskiego.

Od roku 1928 jako jeden z założycieli Zrzeszenia Beletrystów Polskich jest czynnym członkiem Zarządu. Ponadto od roku 1930 sprawuje funkcje członka Zarządu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich.

Żadna sprawa, dotycząca Ojczyzny, nie jest mu

obca i obojętna i gdy nie zabierają głosu Rodacy— On mówi.

Niemiecka gazeta „Volkswille" twierdziła w 1930 r., że teatr polski ma w swoim reperturze „nur zwei einzigen Opern", a dwa czasopisma polskie odpowiedziały jej, iż oper własnych posiadamy aż... 8. Łaszczyński zabrał głos na łamach czasopisma niemieckiego i z pamięci wyrecytował niemieckim znawcom 55 oper polskich, co prasa niemiecka przyjęła do wiadomości z niemałem zdziwieniem. Jednocześnie przypomniał Niemcom, że to nie kto inny, ale właśnie orkiestra berlińska w 1845 r. ofiarowała srebrny puhar Dobrzyńskiemu za „Monbara"— pierwszą polską operę symfoniczną!

W całej działalności społecznej Łaszczyński miał zawsze dobro Ojczyzny i poezję na względzie. Mówiąc o człowieku-społeczniku, nie można Go oddzielić od poety. Są to jakgdyby dwa zazębiające się w działaniu koła, intuicyjnie się dopełniające. Prostota i przystępność bez cienia egoizmu — to zasadnicze rysy charakteru Łaszczyńskiego.

Zwykłym człowiek,
Bo przyszedłem tu żyć z wami...
Cóż, że innemi oczami
Patrzę na świat z pod mych powiek?
— Zwykłym człowiek.

W tej maksymie, wypowiedzianej w jednym z młodzieńczych utworów, wytrwał Łaszczyński do

dnia dzisiejszego. I może nic więcej nie jest Mu właściwszem — jak ta skromność i pewien brak w uzewnętrznianiu tego, co uczynił. To czasem absorbuje Jego umysł, dręczy sumienie — tak — że poeta sam siebie z lękiem zapytuje, czy dobrze spełnił swe posłannictwo na ziemi — czy spełnił swe obowiązki względem Boga i społeczności?

W jednym z ostatnich swoich wierszy p. t. „Dwa wieńce" takie pytanie rzuca w swoją stronę:

... Pan mi darów nieba udzielił obficie
I możem je roztrwonił i zmarnował życie?

Może więcej od innych my, młodzież akademicka, od szeregu lat podziwiamy Łaszczyńskiego entuzjazm i silną wiarę w pracy społecznej. Jest z nami zawsze razem, bo jest z nami duchem młody. Jego zapał niejednego z nas do wielkich idei, haseł i czynów szlachetnych porywał, niejednemu ukazywał nowe widnokręgi myślenia, a nadewszystko we wszystkich ugruntowywał miłość do Ojczyzny i społeczeństwa.

Na rzucone przez poetę pytanie ostatnie my — młodzież odpowiadamy:

„Nie roztrwoniłeś i nie zmarnowałeś swego życia", bo to coś uczynił nie każdemu jest dane przez Opatrzność — uczynić!

Henryk Janczewski.

Do Witolda Łaszczyńskiego.

(Przemówienie wypowiedziane na Akademji jubileuszowej w Sali sztandarowej Ratusza w Warszawie dnia 26 kwietnia 1931 roku).

Drogi Mistrzu i Kolego!

Sławili dzisiaj inni Twoje zasługi jako pisarza, jako Polaka. Przemawiam teraz w imieniu Zrzeszenia Beletrystów Polskich, tego stowarzyszenia, którego byłeś jednym z głównych założycieli, a jesteś jednym z najgorętszych członków.

Rozumiałeś zawsze, że sztuka ma także cele społeczne, a zadaniem artysty jest łączenie dwóch światów, wiecznie trwałego olśniewającego barwami piękna i ciągle zmiennej ruchliwej teraźniejszości.

Na egoizm chłodny i bezpłodny, na stawianie świątyń, do których nikt nie uczęszcza, nie pozwalały Ci ani umysł, ani serce.

Chciałeś z żywymi iść, z żywymi walczyć i razem z nimi wstęgą swoich tęsknot powiązać dolę wspólną ze światem ideału.

Trudno o kogoś, kto byłby tak, jak Ty w każdem pragnieniu swem poetą. Jesteś nim w sercu, czynach, postaci nawet, we współżyciu z młodymi, których od trzydziestu blisko lat zawsze wokół siebie gromadzisz. Lecz, choć najwyższe wzruszenia dawały Ci spoglądanie w światy inne, zapał kazał Ci działać, starać się, by życie wokół do nich czynić podobnem.

Jako pisarza mogą Cię ocenić ci, którzy czytają Twoje poezje, jako człowieka i Polaka—ci tylko, którzy bliżej Cię poznali. Oceniają Twą skromność, bezwzględną a tak rzadką dziś bezinteresowność osobistą, Twój po nocach w wypełnianiu obowiązku trud w ciszy, o którym nieraz nikt nie wie, Twój sąd trafny i Twoje wielkie uwielbienie sztuki.

Wiedzą, że szlachetnemu dźwiękowi strof wtóruje rytm szlachetnego serca. Z głęboką przyjaźnią cieszymy się, że dzisiaj czczą właśnie Ciebie.

Pozwól, że przytoczę kilka zdań z przełożonego przez Ciebie tak pięknie V aktu „Cyrana":

Co mówisz? To daremne... Twój wyrok mi znany!
Lecz nie walczy się tylko w nadziei wygranej!
To piękniej, gdy napróżno, bo za ideały!
Ale któż są ci wszyscy? Jest was legjon cały?
Poznaję starych wrogów: na czele mych gości
Kłamstwo... Kompromisy... Przesądy, podłości...
Wydzieracie mi wszystko... róże... laury wieszcze —
Wydzierajcie! Wbrew waszej woli jest coś jeszcze...
... Jest coś, co bez zagięcia, bez plamy z dni chwały
Unoszę, to jest...

ROKSANA.

Jest to?

CYRANO.

Pióropusz mój biały!

Ten pióropusz biały jest Twą dumą. Życzymy Ci, byś przez najdłuższe lata płynął na łodzi życia z zatkniętym górnie sztandarem poezji!

Mieczysław Smolarski.

Witold Łaszczyński i jego jubileusz.

Witold Łaszczyński — „rasowy Polak i rasowy poeta” według Władysława Nawrockiego, nazwany „kryształowym człowiekiem” przez Tadeusza Sadowskiego — „romantyk z ducha ze wszystkiemi cechami zapału i strzelistej wzniosłości, hołdujący niepodzielnie wierze w tryumf pieśni na ziemi, w wajdelotyzm życia... trubadur, ubrany w żakiet współczesny” — zdaniem Józefa Jankowskiego — „pisze niewiele, ogrzewa długo w sercu pomysły swe poetyckie... które dźwięczą jak pobudka do czynu, jak uderzenia mieczem w tarczę”. Istotnie Łaszczyński pisze niewiele, jeszcze mniej drukuje, ale pierwsze swoje poezje drukował w „Tygodniku Ilustrowanym” i „Wędrowcu” już w 1892 r., a pierwsze wiersze w „Wieczorach Rodzinnych” i „Przyjacielu Dzieci”— kiedy sam był jeszcze dzieckiem... miał bowiem wtedy lat 14. *)

Z drukowanych we wszystkich niemal czasopismach warszawskich i innych od 1900 r. utworów poetyckich Łaszczyńskiego, nie licząc rzeczy pisanych prozą, byłoby oprócz dwóch już wydanych — jeszcze kilka tomów. Rozrzucone na tak wielkiej przestrzeni miejsca i czasu nie dawały całokształtu twórczości poety. Zachodziła potrzeba przepisywania utworów, albowiem społeczeństwo korzystało z nich często

*) Pierwsze owe utwory wyszły w I tomie „Poezji“ w 1899 r. — tom II wydany w 1923 r. zawiera poemat dramatyczny p. t. „Wajdelota — Pieśń o szczęściu“ (drugie wydanie wyszło w 1928 r.).

— świadczą o tem programy z górą stu koncertów w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Zgierzu, Sosnowcu, Ciechanowie, Czerwińsku, Sieradzu, Siedlcach, w Rydze, w Lille i New-Yorku, na których deklamowano poezje Łaszczyńskiego, cieszące się zawsze wielkiem powodzeniem.

W 1928 r. Akademickie Stowarzyszenie „Polska Młoda" uchwaliło uczcić zasługi poety obchodem jubileuszowym. Uchwałę tę w 1929 r. przejęło Stowarzyszenie „Młoda Polska Społeczna". *) Łaszczyński zasadniczo zgodził się jedynie na urządzenie wieczoru jego poezji, sam jednak ze względów osobistych zwlekał z oznaczeniem terminu. Tak upłynęły trzy lata. Młodzież wkońcu dla zrealizowania swego planu zwróciła się o współpracę do starszych przedstawicieli społeczeństwa. Powstał Komitet Obchodu złożony ze 130 osób z J. E. ks. Biskupem A. Szlagowskim na czele — pod przewodnictwem poety Witołda Bunikiewicza. I oto dnia 24.IV 1931 roku odbył się Obchód XXXV-lecia twórczości literackiej, artystycznej i społecznej poety Witolda Łaszczyńskiego. O godz. 10 r. w kościele P.P. Sakramentek zostało odprawione uroczyste nabożeństwo na intencję Jubilata, na którem ks. kan. Stanisław Kuczyński wygłosił podniosłą mowę „O szczęściu" (temat z „Wajdeloty" Łaszczyńskiego), jak je sobie wyobraża ubogi — bogaty, prostaczek — mędrzec, a jak

---

*) Utworzone z Sekcji artystyczno-literackiej „Polski Młodej".

poeta. O godz. 4.30 pp. w Sali sztandarowej Ratusza warszawskiego odbyła się uroczysta akademja, na którą złożyły się: słowo wstępne Witołda Bunikiewicza i przemówienia majora Antoniego Bogusławskiego, Stefana Górzyńskiego, Henryka Janczewskiego i Mieczysława Smolarskiego. Podczas owacji wręczono poecie wieńce i dary. *)

Życzenia złożyli: w imieniu Departamentu Kultury Min. Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. Stanisław Dobrowolski, przedstawiciele instytucji publicznych i organizacji społecznych oraz wiele innych osób; prof. Kazimierz Król, życząc Jubilatowi w imieniu Polskiej Macierzy Szkolnej i Kasy Literackiej jeszcze wielu lat owocnej pracy twórczej, wyraził największą radość, iż inicjatywa uczczenia poety wyszła od młodzieży akademickiej. W koncercie wzięli udział soliści i chór pod dyrekcją Ryszarda Chabalewskiego. Sala ratuszowa była — jak pisał

*) Dyplom na członka honorowego i wieniec z wstęgami od Akademickiego Stowarzyszenia „Młoda Polska Społeczna", wieniec z szarfami od Komitetu Obchodu, patera z posągiem sławy i kwiatami od Zrzeszenia Beletrystów Polskich, zegarek złoty genewski z napisem „Świetnemu Poecie Witoldowi Łaszczyńskiemu—koledzy z biura Sejmu i Senatu", portret poety-powstańca Ludwika Niemojowskiego pędzla Tytusa Maleszewskiego od p. Janiny z Niemojowskich Czachórskiej-Łasińskiej, „Rocznik Łódzki" — rys historyczno-statystyczny Miasta Łodzi od dyrek. archiwum Józefa Raciborskiego i kilkadziesiąt telegramów (od prof. Alfonsa Parczewskiego pro-rektora uniwersytetu w Wilnie, stowarzyszeń literackich i społecznych oraz wiele innych).

„Kurjer Warszawski” zapełniona liczną publicznością, a według „Kurjera Porannego” nawet przepełniona.

Obok ks. kanonika Stanisława Kuczyńskiego zasiedli: ordynat Edward hr. Krasiński, Kazimierz Król i Lucjan Freytag, Stanisław Dobrowolski i Stanisław Libicki, major Antoni Bogusławski, Jan Lorentowicz, F. A. Ossendowski, Mieczysław Smolarski i Maciej Wierzbiński, Zofja Ossendowska, Adam Elertowicz, Feliks Starczewski i Aleksander Wielhorski, Władysława Borkowska - Lewkowiczowa, Zofja Janczewska, Halina Walterowa, Helena Zahorska-Pauly i Mieczysław Frenkiel, Marja Bloombergh-Mrozowska i Natalja Dzierżkówna, Stefan Bartkiewicz, S. Hłasko i Józef Śliwowski, Franciszek Gromko i Stanisław Lipczyński, Stanisław Jarkowski, Franciszek Galiński i Władysław Zyglarski, przewodniczący i członkowie zarządów stowarzyszeń i korporacji. W uczczeniu Witolda Łaszczyńskiego wzięli więc udział przedstawiciele duchowieństwa i nauki, rządu i stolicy, literatury i muzyki, śpiewu, teatru i sztuki, palestry i dziennikarstwa, rzemiosł i młodzieży — słowem: przedstawiciele całego niemal społeczeństwa. Wątpliwości poety, zbyt skromnego i niedoceniającego samego siebie — rozwiały się. Komitet, pragnąc uwieńczyć obchód, postanowił wydać wybór „Poezji” Witolda Łaszczyńskiego, jako tom III p. t. „Wysoki Próg”. W tomie tym zostały zebrane, napisane po wyd. I tomu, wybitniejsze utwory z najpopularniejszym, bo 6-krotnie już drukowanym i deklamowanym na niezliczonej ilości koncertów „Polonezem” na czele.

W latach niewoli Polski Łaszczyński należał do tych, którzy pracowali nad jej wyzwoleniem. O czasach owych, palących się nieraz gorączką czynu i tęsknotą oczekiwania, już się powoli zapomina. Wydawcy nie chcieli pominąć młodzieńczych wierszy Witolda Łaszczyńskiego, które poeta umieszczał w tajnym tygodniku „Młody Świat" w latach 1889—1891, a później przemycał do Krakowa i tam drukował w „Prawdzie" i „Pracy" w 1894 r., a więc na pięć lat przed wydaniem I tomu „Poezji". Dlatego oprócz utworów poetyckich znacznie późniejszych—zostały tutaj umieszczone również wiersze 18-letniego Polaka-patrjoty—dokumenty z przed 35 lat — w dziale „Wiersze niecenzuralne". Oby to wydanie jubileuszowe, w myśl pragnień Komitetu obchodu, przyczyniło się do bliższego poznania przez społeczeństwo Witolda Łaszczyńskiego jako poety i człowieka, który w twórczości swej i życiu umiał łączyć uczucia i poezję z pozytywnemi wartościami pracy społecznej.

Edmund Kecel.

OBCHÓD XXXV-LECIA PRACY
LITERACKIEJ, ARTYSTYCZNEJ i SPOŁECZNEJ
POETY
WITOLDA ŁASZCZYŃSKIEGO
DE VERBNO.

KOMITET HONOROWY:

Przewodniczący: Witołd Bunikiewicz.

J.E. Biskup ks. dr Antoni Szlagowski, JJWWPP. Ignacy Baliński, Stefan Bartkiewicz, Zofja Bielicka, major Antoni Bogusławski, ks. Ignacy Bronszewski (Sieradz), Marja Brunowa, Marja Buchnerowa, pułkownik Stefan Bzowski (Sulmierzyce), Zdzisław Dębicki, Natalja Dzierżkówna (Jerzy Orwicz), regens ks. Henryk Fiatowski, Wacław Filochowski, Mieczysław Frenkiel, Lucjan Marjan Freytag, Wanda Glińska, Jan Grabowski, Włodzimierz hr. Grabowski, Franciszek Gromko, Wacław Grubiński, Stanisław Hłasko, Władysławowa Jabłonowska, Józef Jankowski, Stanisław Jarkowski, Eda bar. Kąsinowska, Stefan Kościesza - Klimowicz (Chojnice), Leon Kluger, Stefan Kiedrzyński, Tadeusz Kończyc, Marja Koperska, Jadwiga Kowalska (Sieradz), Stanisław Kochanowski, Lucyna Kotarbińska, Ignacja Piątkowska-Kuczborska (Smardzew), ordynat Edward hr. Krasiński, Teodorostwo Krąkowscy (Żaby), Stefan Krzywoszewski, Bolesław Koreywo (Poznań), Kazimierz Król, ks. kanonik Stanisław Kuczyński, Jan Lemański, Ryszard Lenartowicz, Wacławostwo Liniewiczowie, Stanisław Lipczyński, Stanisław Libicki, Jan Lorentowicz, Bolesław Lutomski, Janina Niemojowska - Łasińska, Witold Władysław Łaszczyński de Verbno (Poznań), Janina Tomaszewska-Malanowska, Cecylja Tarczyńska-Mleczkowa, Marja Małachowska, Aldona Małachowska, Franciszek Marjański, Wiktorja Mendrysowa, Józef Bolesta Modliński, Kazimierz Marjan Moraw-

ski, Natalja Truskowska - Morozowiczowa (Bydgoszcz), Marja Bloombergh-Mrozowska, Stefan Nadratowski, Konrad Olchowicz, Józef hr. Ostroróg, Artur Oppman (Or-ot), Ferdynand Antoni Ossendowski, rektor Alfons Parczewski (Wilno), Stefanja Podhorska-Okołów, Henryk Piątkowski, Marja Czesława Przewóska, Józef Raciborski (Łódź), Marja Radońska (Kobierzycko), Wanda Rogowska, Witold Romocki, Stanisław Sadowski, Karol Schulz, Władysław Skoczylas, Mieczysław Smolarski, Helena Sikorska (Kalisz), Anna Słonczyńska de Verbno, Leopold Staff, Zofja Szpanów, Kazimierzostwo Szoslandowie (Kalisz), Wanda Świątecka, Juljan Adolf Święcicki, Józef Śliwowski, Albertostwo Tomaszewscy, Zofja Urbanowska (Konin). Kazimierz hr. Colonna Walewski (Tubądzin), Zygmuntostwo Wierusz - Walknowscy (Wieluń), Maciej Wierzbiński, Stanisław Wilczyński, Stanisław Woźniakowski, ks. Antoni Zawadzki (Wróblew), Marta Borowska-Zakrzewska (Łódź), Józef Zembrowski, Antoni Żwan, Zrzeszenie Beletrystów Polskich.

KOMITET ORGANIZACYJNY:

Władysława Borkowska-Lewkowiczowa, Zofja Janczewska, prof. Zofja Ossendowska, Halina Walterowa, Helena Zahorska-Pauly, Ryszard Chabalewski, Adam Elertowicz, Stefan Górzyński, prof. Aleksander Wielhorski, prof. Feliks Starczewski, Marjan Zajączkowski, Marjan Bogacz, Henryk Janczewski, Edmund Kecel, Czesław Konopka, Bernard Kowalski, Euzebjusz Okniński, Roman Orłowski, Iza Tyszkiewicz-Aleksandrowiczowa, Sabina Bielińska, Marja Ciołkowska, Zofja Kociatkiewiczówna, Irena Kosińska, Sabina Moszkiewiczówna, Amelja i Stanisława Pankiewiczówny, Irena Szabellakówna, Jadwiga Zemlichówna, Janina Rutkowska, Leonard Herczyński, Stefan Hołowczyc, Jan Łatyszkiewicz, Zdzisław Miodyński, Lucjan Nowosielski. Mieczysław Salamonowicz, Zygmunt Węgielski. Stowarzyszenie „Młoda Polska Społeczna". Korporacja „Patria".

Warszawa, 26 Kwietnia 1931 roku.

RADA MIEJSKA (RATUSZ) SALA SZTANDAROWA

AKADEMJA - KONCERT

I.

Słowo wstępne wypowie **Witołd Bunikiewicz.**

1. **Witold Łaszczyński jako poeta**—Antoni Bogusławski
2. **Szlakiem szczęścia, szlakiem „Wajdeloty"**—Stef. Górzyński.
3. **Praca społeczna Łaszczyńskiego**—Henryk Janczewski.
4. **W imieniu Zrzeszenia Beletrystów**—Mieczysław Smolarski.

II.

5. **Łaszczyński**: Prolog z „Wajdeloty"
„Koszula żołnierza"
„Powrót księcia Józefa Poniatowskiego"
— Helena Zahorska-Pauly (deklamacja)
6. **Ossendowska**: Kompozycje własne
— Prof. Zofja Ossendowska (skrzypce)
7. **Łaszczyński**: „Amfiteatr w Łazienkach"
„Prząśniczka" z muzyką Litolffa
— Zofja Janczewska (deklamacja)
8. **Starczewski**: „Piosenka góralska"
Niewiarowski: „Do dziewczęcia"
Mikulski: „Opuszczona"
Tosti: „Wróciło słońce"
(Poezje Łaszczyńskiego)
— Wł. Borkowska-Lewkowiczowa (śpiew)
9. **Łaszczyński**: „Wiatrak"
„Zdobycie Warszawy"
— Halina Walterowa (deklamacja)
10. **Schoubert**: „Marche militaire"
Wielhorski: „Impromptu"
— Prof. Aleksander Wielhorski (fortepian)

11. **Łaszczyński:** „Polonez“ z muzyką Chopina
Fragment z „Króla Heroda“
— Marjan Zajączkowski (deklamacja)

12. **Elertowicz:** „Sztandar Polski“
„Pieśń Młodej Polski“
Rapacki: „Krzyż w Grochowie“
Münchheimer: „Hej, na łódź“
} **Poezje Łaszczyńskiego**
— CHÓR
pod dyrekcją Ryszarda Chabalewskiego.

AKOMPANJAMENT: PROF. FELIKS STARCZEWSKI.

Początek o godzinie $4^1/_2$ po południu.

ŁASZCZYŃSKI

RAPSODY

POEZJE

FR. CHOPIN: Preludjum A-dur op. 28 nr 7.
Polonez A-dur op. 40.
W. ŁASZCZYŃSKI: Polonez
(melodeklamacja — podłożył prof. F. Starczewski)

POLONEZ.

Fr. Chopin: Polonez A-dur

Jesień! Wizji moich roje
Szarą snują się godziną,
Jak na wietrze mgły...
A w komnacie jest nas dwoje:
Tylko z tobą ja, dziewczyno,
Jeno ze mną ty.

Zadumania pełen stoję,
Rozmarzone serce moje
Niby listek drży —
Pod twą dłonią łka pianino,
Szopenowskie dźwięki płyną,
W moich oczach łzy.

. . . .

Z harmat pal i szykuj biały chleb i sól!
W zamku bal: z królową zjeżdża dzisiaj król;
A z królestwem dworzan poczet dziarski, młody —
Wkrótce u możnego staną wojewody.

Zwiedli most i wybiegł wszystek lud na wał,
K'niebu wprost huknęła salwa ze stu dział;

Echo na to hasło w odpowiedzi z błoni
Dało głuchy tętent stu królewskich koni.

Z zamku wież zagrały teraz głosy trąb:
Wzdłuż i wszerz pobiegły serc poruszyć głąb...
Aż tu z piersi ludu pieśń serdeczna płynie:
„Witaj-że nam, witaj, miły hospodynie!”.

Przybył król, łaskawem okiem spojrzał wkrąg,
Chleb i sól sam przyjął z wojewody rąk,
Gdy zaś ów pokłonił mu się aż do ziemi —
Zaraz go podnosić jął rękoma swemi.

Rzecze doń, a drżał mu ze wzruszenia głos:
„Przebóg! Skroń waszmości bieli srebrny włos,
„Więc choć gość u progu, mówią, Bóg przed progiem,
„Przecież, wojewodo, nawet król nie Bogiem!”.

Króla z bram prowadził w zamek cały lud,
Jejmość sam monarcha tryumfalnie wiódł,
Wojewoda przodem ukazywał drogę,
Za królestwem strojnie szło rycerstwo mnogie.

Przeszli próg i weszli do zamkowych sal:
Każdy róg zdobiła damasceńska stal —
Tam wśród fraucymeru uroczego grona
Gości swych czekała wojewody żona.

— „Pani! Cześć ci za ten domu twego blask!”
— „Tyś go wnieść sam raczył, królu, tyle łask!” —

Król wojewodzinie rękę swą zasłania,
Lecz królowa dała do ucałowania.

Nagle rzekł jej król: „Nie widzę synów twych...
„Chociaż legł najstarszy, drugi — zbożny mnich,
„O niejednem jeszcze słyszę pacholęciu!” —
A wojewodzina: „Synów mam dziesięciu.

„Każdy z nich rycerski ten uczynił ślub:
„Paść do twych, o, królu miłościwy, stóp,
„I o pasowanie błagać na rycerza,
„Bo na wiosnę w pole ruszyć król zamierza.”.

— „Dziwny traf: dziś śniło mi się dziesięć kul!
„Żywo staw mi synów twych!” — zawoła król:
„Chętnie na rycerstwo tutaj ich wyzwolę,
„Aby mogli ze mną ruszyć wiosną w pole.”.

Choć był czas spokojny i nie groził wróg,
Na to wraz przypadło do królewskich nóg
Aż dziesięciu tęgich zuchów, co się zowie!
A wojewodzina: „Moi to synowie!”.

Ujął w dłoń i podniósł miecz rycerski król...
Nagle skroń mu owiał smutek, lice — ból,
A z zamglonych oczów wzdłuż po twarzy zbladłej,
Niby dwa brylanty, dwie łzy drżące spadły.

A gdy lęk pogrążył wszystkich, jakby w śnie,
Cichy jęk z ust króla wyrwał słowa te:

„Boże! Wziąłeś duszę memu pacholęciu,
„Wojewoda szczęsny synów ma dziesięciu!".

— „Królu nasz!" — zawoła wojewoda w głos:
„Więcej masz odemnie, twój szczęśliwszy los!" —
A z przytomnych piersi jeden okrzyk wzleci:
„Nie krzywdź nas! Toż myśmy wszyscy twoje dzieci!".

Słucha król, powoli wypogadza twarz,
Przemógł ból i rzecze: „Tak, jam ojciec wasz!
„Nie masz już odemnie bogatszego pana —
„Cały lud to dziatwa moja ukochana!".

Spojrzał wzwyż i podniósł po raz wtóry miecz,
Skreślił krzyż na cztery strony świata precz
I wojewodziców mieczem swym uderzy
I pasuje z miejsca wszystkich na rycerzy.

Z harmat pal! Nieś salwę za tysiące pól!
W zamku bal: z wojewodziną tańczy król,
Zaś królowa raczy pląsać z wojewodą,
A fraucymer hoży w tan dworzanie wiodą.

. . . .

Przebóg! Wizji moich roje
Rozsnuwają się i giną
Jak na wietrze mgły...
A w komnacie znów nas dwoje:
Jeno z tobą ja, dziewczyno,
Tylko ze mną ty.

Zadumania pełen stoję,
Rozmarzone serce moje
Niby listek drży —
Z pod liljowej twojej ręki
Szopenowskie płyną dźwięki,
W moich oczach łzy.

1899 r.

PRZĄŚNICZKA.

H. Litolff: La Fileuse, op. 81.

W ciepłej izbie, u komina,
Siedzi matuś przy kądzieli...
Len białością przypomina,
Jak się pierwszy śnieżek bieli,
Gdy go ześlą Wszyscy Święci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

U matczynych nóg chłopczyna
Złotowłosy jak anieli...
Czwartą wiosnę rozpoczyna,
Więc i pacierz co raz śmielej
Wypowiada już z pamięci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

Tuż kaganek światłem bladem
Wkrąg rozwodzi się z przypiecka
I złocisty kładzie djadem
Na prząśniczki skroń i dziecka,
Jaki w Niebie mają Święci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

Przed obrazem Matki Boskiej
I Dzieciątka, co w koronie
Błogosławi sercom wioski,
Bezustannie lampka płonie,
W dowód Bożych łask pamięci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

. . . .

— „Matuś moja, matuś złota,
„Naucz ty mnie, jak się przędzie,
„Bo tak wzięła mnie ochota
„Poznać dziwne to narzędzie;
„A gdy ze mnie pomoc będzie,
„Łatwiej pójdzie ci robota...
„Naucz ty mnie, jak się przędzie,
„Matuś moja, matuś złota!".

— „Nie, mój synu, nie przystoi
„Siadać chłopcu przy kądzieli,
„Lecz za pługiem iść lub w zbroi,
„Bo-by ludzie się naśmieli
„I niechybnie powiedzieli,
„Że sił nie ma, lub się boi;
„Siadać chłopcu przy kądzieli —
„Nie, mój synu, nie przystoi.

„Przęślik brała panna młoda
„Jako pracy swojej godło,

„A przęślicę wojewoda
„Za ucieczkę z bitwy podłą;
„Kiedy męstwo go zawiodło —
„Taka była dłań nagroda;
„Jako pracy swojej godło
„Przęślik brała panna młoda.”.

— „Matuś moja, matuś złota,
„Naucz ty mnie, jak się orze,
„Bo tak wzięła mnie ochota
„Iść za pługiem po ugorze;
„Jeszcze-m mały, to i może
„Nie udźwignąłbym brzeszczota —
„Naucz ty mnie, jak się orze,
„Matuś moja, matuś złota!”.

. . . .

W ciepłej izbie, u komina,
Siedzi matuś przy kądzieli,
Z wiarą w przyszłość swego syna,
Ufna, że go będą mieli
W swej opiece Wszyscy Święci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

U matczynych nóg chłopczyna,
Złotowłosy jak anieli...
Na ramieniu dłoń matczyna,
Więc rozważa coraz śmielej

Słowa matki w swej pamięci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

Tuż kaganek światłem bladem
Wkrąg rozwodzi się z przypiecka
I złocisty kładzie djadem
Na prząśniczki skroń i dziecka,
Jaki w niebie mają święci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

Nie przeczuwa dziś pacholę,
Że już przyszłość, co się zbliża,
Oto kładzie mu na czole
Inny djadem — z cierni krzyża.
Jeno matuś coś się smęci —
A pośrodku
W kołowrotku
Kółko kręci się i kręci...

1900 r.

KWIAT SZCZĘŚCIA.

Baśń świętojańska.

I.

Czy widzisz, mój ojcze, jak bór
W promiennej tam lśni aureoli?
To słońce z błękitów bez chmur
W podziemia zstępuje powoli.
Gwar dzienny zamiera i ruch,
Noc spływa gwiaździsta i cicha;
Spoczywa i ciało i duch,
Pierś szerzej, spokojniej oddycha,

W tak wielkie milczenie zszedł dzień,
Że świat się stał jakby mogiłą,
I gdyby przesunął się cień —
W tej ciszy-by słychać go było.
Słowików nie śpiewa już chór,
Wierzchołki się drzew nie kołyszą;
Czy słyszysz, mój ojcze, jak bór
Przyzywa mnie wielką swą ciszą?

„Pójdź do mnie o duchów godzinie,
„Pójdź do mnie i stań przy jeziorze;
„Niech północ zastanie cię w borze,
„Gdy kwiat się paproci rozwinie.

„O, pochwyć go w ręce swe obie,
„A szczęście uchwycą twe dłonie;
„Choć paproć na ręku ci spłonie,
„Lecz szczęście zostanie przy tobie!”.

O, to nie słowików brzmi chór,
Ni drzew się wierzchołki kołyszą;
Czy słyszysz, mój ojcze, to bór
Przyzywa mnie wielką swą ciszą!

Zaiste, ma córko, to bór
Przemawia ogromem swej ciszy,
A czyje mu serce gra wtór —
Ten jeno głos jego usłyszy.
Lecz tobie nieznane są łzy,
Masz słońce w swej duszy jak w niebie,
Bo szczęście na ziemi to ty
I tylko zobaczysz w niem siebie!

O, pozwól mi, ojcze, tam iść,
Daj zerwać w północnej dziś porze
Paproci kwitnącej choć liść,
A szczęście u stóp twoich złożę!

Bułanek z radości już rży,
Dosiadła go bowiem królewna:
Tak lekka, jak motyl, jak mgły,
Jak wietrzyk, jak tchnienie — powiewna.

A przed nią rozstąpił się bór,
I dęby swe chylą korony
I łączą w potężny się chór —
W radości już nieutajonej.

II.

Czy widzisz, o, matko, jak bór
W promiennej tam lśni aureoli?
To słońce z błękitów bez chmur
W podziemia zstępuje powoli.
Skreśliwszy olbrzymi dziś łuk
Przez środek wielkiego zenitu,
Obiegło najdłużsą z swych dróg
W przestrzeniach dalekich błękitu.

Panując nad ziemią przez dzień
W monarszym jak król majestacie,
Powoli zasuwa się w cień —
W purpurze, fioletach, szkarłacie.
Słowików nie śpiewa już chór,
Wierzchołki się drzew nie kołyszą;
Czy słyszysz, o, matko, jak bór
Przyzywa mnie wielką swą ciszą?

„Pójdź do mnie o duchów godzinie,
„Pójdź do mnie i stań tu na straży,
„I czuwaj, cokolwiek się zdarzy,
„W najdzikszej paproci gęstwinie.

„O, schwyć ją w rozkwitu tej dobie,
„A szczęście twój żywot ozłoci,
„Choć nie utrzymasz paproci,
„Lecz szczęście zostanie przy tobie!".

O, to nie słowików brzmi chór,
Ni drzew się wierzchołki kołyszą;
Czy słyszysz, o, matko, to bór
Przyzywa mnie wielką swą ciszą!

Zaprawdę, mój synu, to bór
Przemawia ogromem swej ciszy,
A czyje mu serce gra wtór —
Ten jeno głos jego usłyszy.
Lecz pomnij, że czyha tam sto
Dziwożon i empuz na drodze,
Bo nie chce przystępu dać zło
Do szczęścia na ziemi niebodze!

O, pozwól mi, matko, tam iść,
Daj zerwać w północnej dziś porze
Paproci kwitnącej choć liść,
A szczęście u stóp twoich złożę!

I lutnia z radości już drży,
Bo pieśniarz poruszył jej struny
I dobył serdeczne z nich łzy,
To groźne naprzemian pioruny.

I leśna rozszerza się cieśń,
By przeszedł swobodnie lutnista;
Gdzie stąpi — zwycięża tam pieśń
I dusza pieśniarza przeczysta.

III.

Podobna do wiosny motyla,
Co lilją na słońcu kolebie,
Królewna po szczęście się schyla
I oto spostrzega w niem siebie.

Dokoła niej paproć rozkwita,
Gdzie spojrzeć po całym już borze,
A cudna jej postać odbita
W przeczystem jak kryształ jeziorze.

A przed nią lutnista tuż klęczy
Z swą lutnią z strunami złotemi,
Wpatrony w jej obraz jak z tęczy —
Szczęśliwy już szczęściem na ziemi.

1902 r.

WIATRAK.

Jak olbrzymi motyl szary
Wielkoludów Guliwera,
Kiedy skrzydeł obie pary
Już do lotu rozpościera,
Ze śmigami olbrzymiemi
I wzniesionem w niebo czołem,
Nie tykając jakby ziemi,
Stoi wiatrak po za siołem.
W czystem polu, okolony
Jeno łanów żyznych wieńcem,
Pierwszy siejby wita plony,
Których jest ostatnim żeńcem;
Choć od ludzi bowiem zdala —
Dla nich się jedynie trudzi
I gdy wiatru wionie fala,
Miele mąkę z ziarn dla ludzi.

By chleb dała ziemia czarna,
Pracowali z wolą Bożą
I na wiatrak oto zwożą
Wymłócone z kłosów ziarna.
Obrodziła żyzna gleba
I gdy wiatrak zboże zmiele —
Będzie mąki aż za wiele,
Dość dla wszystkich będzie chleba.

Obrodziła ziemia czarna,
Nikt nie dozna chleba braku,
Pełno w koszu na wiatraku,
Wór przy worku pełen ziarna.
Aż w młynarzu rośnie dusza,
Tak dla wszystkich zemleć w chęci;
Ale wiatrak się nie kręci,
Żadna śmiga nie porusza.

Złote rżysko wkrąg lemiesza
Ostrzem w pół zorane leży;
Do wiatraka już pośpiesza
Lud po mąkę na chleb świeży.
W którąkolwiek spojrzeć stronę —
Śpieszą ludzie miedzą, drogą;
Ale zboże nie zmielone,
Niema mąki dla nikogo...
Już i lato w niepamięci,
Wokół nowa mrówcza praca;
Jeno wiatrak się nie kręci,
Żadna śmiga nie obraca.
Patrzy młynarz z bólem w duszy
Z drewnianego swego szatru,
Czy się liść gdzie nie poruszy —
Wiatru niema, niema wiatru!

Za południem mknie południe,
Wieczór płynie po wieczorze;
Złota jesień już na dworze
I na świecie znowu cudnie.

Hen na niebie z zorzą złotą
Wyszło słońce w jasny ranek
I z wiatraka już na ganek
Wyszedł młynarz z swą tęsknotą.
I gdy podniósł dłoń do skroni,
By znak czynić Bożej Męki —
Jak dotknięcie Pańskiej ręki,
Uczuł nagle liść na dłoni.
Przetarł oczy: cud się iści,
Chociaż niema wkrąg nikogo;
Tam, wierzbami znaczną drogą,
Leci chmura złotych liści.

Młynarz znowu dłońmi przetrze
Zachwycone oczy, skronie
I rzeźwiące go powietrze
Całą piersią pije, chłonie.
To powietrze falujące
Jego duch jak balsam z nieba
Bierze w piersi za tysiące,
Za tych, którzy łakną chleba.
— „Wiatr, to wiatr, to wicher wieje!
„Woła głos Zastępów Pana:
„*W burzy spełnię tym nadzieję,*
„*Którym ziemia obiecana*!
„Wiatr, wiatr, wicher, precz stawidła!
„W kosz syp ziarna wiele, wiele;
„Już się kręcą śmigi, skrzydła!" —
Wiatrak mąkę na chleb miele.

Smardzew, 1913 r.

POWRÓT KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

(9 września 1814 roku).

Choć wdów i sierot łzy i boleść w łonie,
W skrwawionem sercu nowa rana krwawa —
Z dębowych liści wieniec dziś na skronie
Promienna szczęściem włożyła Warszawa.
Nie widna białej piersi krwawa rana,
Biel i amarant sztandarów ją krasi,
Na licach radość dawno nie widziana
I z biciem bębnów krzyk: „Już idą nasi!”.

Tłum zafalował jak wzburzone morze,
Gdy niesie pereł grad na lądu brzegi.
„Nasi wracają, o, dzięki Ci, Boże!” —
Zdziesiątkowane wracają szeregi,
Weselem przecież goreją ich oczy;
Znać na nich trudy długiego pochodu...
Lecz Dąbrowskiego mazurek jednoczy
Radość żołnierzy z radością narodu.

Pieśń olbrzymieje, szaleje wesele!
Lud się rozstąpił, pochód się przybliża.
„Niech żyją nasi!” — Dąbrowski na czele
Stanął już pierwszy u Świętego Krzyża.
Wtem dzwon uderzył na kościelnej wieży,
Zmilkła muzyka, bębny głucho warczą —
To z toporami brodaci saperzy
Ciągną wóz czarny piersi swoich tarczą.

W czarnym całunie laweta armatnia,
Szytym w łzy srebrne z orłami białemi,
A na niej Polski nadzieja ostatnia
Powraca w trumnie do ojczystej ziemi.
Zniżywszy oręż przystanęła jazda;
Idą saperzy, krwawej wieści gońce:
Pod Lipskiem zbladła Napoljona gwiazda,
W Elstery falach zgasło Polski słońce!

Jęknęła ziemia, słysząc dzwonów granie,
Jęknęły serca: „Jezu! Matko Święta!" —
Umilkły głosy, słychać jeno łkanie,
Do gniazd bez orła wróciły orlęta.
Z dębowych liści dziś na skronie wieniec
Na gody śmierci włożyłaś, Warszawo:
Twój książę Józef, patrz, twój ulubieniec
Powrócił w trumnie, lecz wrócił ze sławą!

A kiedy z żalem rzekł Barclay de Tolly:
„Oto na marach wódz bohater leży
„I taki naród ma iść do niewoli,
„Choć każdy z jego walecznych żołnierzy
„Wart, by mu czoło zdobić sławy wieńcem!"
Odparł Linowski cichym serca krzykiem:
„Polak być wiernym może sprzymierzeńcem,
„Lecz dobrowolnie nigdy niewolnikiem!".

1914 r.

AMFITEATR W ŁAZIENKACH.

W królewskim starym parku, na amfiteatrze,
Gdzie była biała loża Króla Jegomości,
Jak ongi król — zasiadam dzisiaj ja i patrzę,
Rychło zaczną odwieczną komedję miłości?

Słońce-kinkiet, śląc z nieba-kopuły promienie,
Oświetla amfiteatr blaskami opali
I kładzie złoto-biały kobierzec na scenie,
A staw się djamentami wkoło niej kryształi.

W orkiestrze jeszcze głucho, na amfiteatrze
Kamienne ławy puste, niema publiczności —
Jestem tylko sam jeden i samotny patrzę,
Rychło zaczną odwieczną komedję zazdrości?

Pośród wierzb i topoli szmaragdowych liści
Czerwienią się kolumny-ruiny na scenie;
Brak kulis, dekoracji, nie przyszli artyści...
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!

Rumieńcem nagle płonie moja twarz pobladła,
Tysiąca oczów czuję na sobie spojrzenie!
To na ławach kamiennych przeszłość wkrąg zasiadła...
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!

I z foteli kamiennych na amfiteatrze
Kamienni mędrcy wzrok swój cofnęli z wieczności —
Nie jestem już samotny, nie sam jeden patrzę,
Rychło zaczną odwieczną komedję chciwości?

Scena pusta, nie gonią się nawet motyle,
Wtem, patrzcie, przebiegają po niej jakieś cienie?
To biały obłok słońce przysłonił na chwilę...
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!

W orkiestrze jeszcze głucho, nie przyszli artyści...
Nagle, słuchajcie, słychać harf tysiąca brzmienie?
To wiatr swem tchnieniem zagrał na tysiącu liści...
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!

Wytężam słuch i słyszę ciche drżenie fali,
Wytężam wzrok i widzę, jak przez wód kryształy,
Z pod arkad królewskiego pałacu, z oddali,
Jak król majestatycznie płynie łabędź biały.

Przecina białą piersią kryształowe tonie,
Ku słońcu wznosi szyję, podobną kolumnie,
I płynie łabędź biały... wyciągam doń dłonie,
I wzrok i słuch wytężam: ku mnie płynie, ku mnie!

Co raz szerzej zatacza djamentowe kręgi,
Co raz szybciej przybliża je do balustrady,
Już ręce me sięgają pierwszej kręgów wstęgi —
Gdy nagle krzyk powietrze przeciął ostrzem szpady.

Biały łabędź wzniósł skrzydła, szyję białą pręży,
Pierś biała barwi mu się krwią jak rubinami,
I cofnął się przed sykiem, straszliwszym od węży,
I oto łabędź czarny stanął między nami.

We stu skrętach się miota czarna jego szyja,
We krwi nurzany dziób swój rozwarł jak dwa miecze,
I syczący swój język wyciągnął jak żmija
I czarnemi skrzydłami staw spieniony siecze.

Ściągnął szpony i bryzgnął wkrąg skrwawioną falą,
I powstał szum ogromny na amfiteatrze:
Gdzie łabędź biały?... Fale w słońcu się krysztalą...
Gdzie łabędź biały?... Próżno i szukam i patrzę...

I znów cisza... Zniknęła piękna biała postać;
W amfiteatrze pusto i pusto na scenie...
I sam nie wiem: już odejść czyli jeszcze zostać?
Było już czy dopiero będzie przedstawienie?

Ale z wichru idący głos Pana nad Pany,
Którego moja dusza jest zwierciadłem chwały,
Woła do mnie: Trwaj, czekaj! zagoją się rany
I po zwycięstwo wróci — wróci łabędź biały!

1915 r.

ZDOBYCIE WARSZAWY.

(5 sierpnia 1915 roku).

— „Rosjanie!
„Wy mi dzisiaj do Moskwy wskazujecie drogę,
„W Warszawie bowiem *swołocz* tylko pozostanie?
„Ojczyzny, matki, domu opuścić nie mogę!" —
Wyrwałem się Moskalom, przyśpieszyłem kroku;
Niedobitki ich zczezły w nocy letniej mroku.
Kędyś grzmi? To nie burzy — armat błysk i granie!
Ścichło. Jerozolimskie przebiegam Aleje,
Już Krakowskie Przedmieście — Zamek. Pustoszeje
Ulica i przechodzień na niej co raz rzadszy.
Lecz w ciszy nocnej słychać serc tysięcy tętno,
Z tysiąca okien mocniej niżli szyby lśniące
Błyszczą oczów w cud dziejów wpatrzonych tysiące!
Nie śpi nikt, każdy dom dziś czuwa, czeka, patrzy...
Matko! I ty czuwałaś w oknie w noc pamiętną!
Ale piętnastoletnią gdy byłaś panienką,
Choć uniósł cię z łóżeczkiem w górę *Onoprjenko,*
By żołnierze szukali, czy w szafie, za ścianą,
Brata twego, *powstańca,* co zginął bez wieści
Gdzieś w puszczy Kampinoskiej, strzelba nie ukryta,
Choć za oknem na Placu Zamkowym strzelano
I niejeden powietrze rozdarł krzyk boleści —

Mówiłaś, że tak spałaś wówczas, jak zabita.
Dziś zdaleka ujrzałem, matko, w oknie ciebie,
Dziś całą noc czekałaś na wolności gońca...
Spostrzegłszy mnie, skinęłaś głową. Już na niebie
Łyskanie armat zbladło w mgle rannego słońca —
Ich gra się wzmogła, czując cel swój bardziej bliski.
Mój bliższy — jużem z tobą w oknie. Tuż pociski,
Świst!... Powietrze faluje i muska nam lica...
Wtem jęk żelaza zawył, jakgdyby łańcuchy
Bram piekielnych zrywały potępionych duchy;
Szyby brzękły, w posadach cała kamienica,
Jakgdyby miała runąć, nagle się zatrzęsła —
W toń spienionych fal Wisły padły mostów przęsła!
Wszystkie świata fontanny takby się wspaniale
Nie spiętrzyły, jak w chwili tej wiślane fale;
Wszystkie świata kaskady takby nie szumiały,
Jak dzisiaj szara Wisła dla Ojczyzny chwały!
Zerwali wszystkie mosty Moskale — nie wrócą.
Niewolo! Czyś już od nas istotnie daleko?
Jeszcze kule rosyjskie dachy domów sieką,
Niejedno działo zrywa spiżowe swe płuco!
Polak kul się nie lęka: od węgła do węgła
Suną placem ciekawsi żelaznego gradu...
Wtem, jakgdyby u nóg ich żmija się wylęgła,
Stanęli. Ku Zjazdowi pełza na kształt gadu
Jakieś wojsko? Czy polskie, wyśnione od dziecka?
Nie: dwóch jeźdźców, koń trzeci, piechota niemiecka!
Więc znów ci? O, garroto, zmoro! Wiemy czyje
Kleszcze nas pochwyciły za piersi i szyje.
Wychylam się przez okno — powietrza! Na dachach

Rosyjskie kule bębnią i bębnią po blachach,
Tłuką szyby, zrywają tynk, skaczą po bruku...
Ktoś krzyknął! Lecz wołanie zginęło śród huku.
Gdzież Niemcy się ukryli? Było ich bez liku...
Pod ścianą Bernardynów leżą na chodniku,
W dół trzej z karabinami Marjenstadtem biegą;
Dwaj konni: jeden z lancą, z chorągiewką w ręku,
Drugi, wiodący luzem rumaka trzeciego —
Na Zjazd wjechali wolno... Halt! Pierwszy, na łęku
Schylony, pragnąc zatknąć lancę z chorągiewką,
Zwrócił ostrze ku ziemi, uderzył w nią krewko,
Lecz bruk uliczny odbił Niemca uderzenie;
Powtórzył — nie uległy warszawskie kamienie.
A na Pradze maszynki terkocą wciąż chórem
I coraz gęściej plują wkrąg rosyjskie działa!...
Niemcowi próżnej z lancą było dość zabawy,
Zawrócił z towarzyszem i skrył się za murem.
Matko! Jakżeś radośnie wtedy zawołała:
„Dzięki Ci, Boże! Niemiec nie zdobył Warszawy!".

Ktoś zadzwonił! Otwieram, witam się z kolegą:
„Gdzież nasze polskie wojsko?" — „Niema go".
— „Dlaczego"?
— „To . . . .
„Nagroda za legjonów chrzest moskiewski krwawy:
„Niemcy im zakazali wchodzić do Warszawy!" —
Usiadł i smutne oczy ukrył w drżącej dłoni.
— „Z niewoli do niewoli! . . . .
. . . .

. . . .

„Uszedł jeden wróg mostem — wszedł drugi rogatką.
„Armjo polska, gdzie jesteś? Gdzie jesteś, wolności?...
— „We Francji!” — Prawdę wielką powiedziałaś, matko:
We Francji!

5 sierpnia 1916 roku
w rocznicę wyjścia Rosjan z Warszawy.

Swołocz (po rosyjsku) — szubrawiec. *Onoprjenko* — pułkownik rosyjski w 1863 r. *Adolf Zaleski* — powstaniec.

WIERZBA KOŚCIUSZKI.

Stały rzędem wzdłuż topole
Przy gościńcu do Skalmierza,
Bujne, rosłe, każda dumna,
Zda się gwiazdę ma na czole
I w niebiosa hen uderza
Swym wierzchołkiem jak kolumna.
Spoglądały więc litośnie,
Jak samotnie w polu rośnie
Wierzba krępa, rosochata,
I do grona proszą swego:
„Tam cię ludzie nie dostrzegą,
„Tu co chwila kawalkata,
„Przybliż się ku gościńcowi,
„Porzuć twe odludne pole!" —
Lecz topolom wierzba powie:
„Gdziem zrodzona — ostać wolę!".

A gdy przysiągł już na rynku
Nasz Naczelnik i z Krakowa
Jechał z wojskiem swem w ordynku,
Była pora obiadowa —
Więc na pierwszym wypoczynku
Za Mogiłą tuż z Pleszowa
Przyniesiony *stół dębowy*
Kazał stawić nie w komorze,

Ale na otwartym dworze.
Lecz dla Naczelnika głowy
Próżno cienie swe dawało
Sto topoli przy gościńcu...
„Byłbym tu” rzekł „jak we młyńcu!” —
Dostrzegł w polu wierzbę małą,
Siadł za stołem na jej sęku,
Wsparłszy głowę zaś na ręku:
„Szczere serce, szczere pole”
Nasz Naczelnik dodał „wolę!”.

A żołnierze z wierzby onej,
Podczas wypoczynku chwili,
Ścięte kołki nieco dalej
Wbiwszy w ziemię, przywiązali
Do nich konie i puścili
Zluzowane na zagony.
Gdy pod wierzbą zaś przy stole
Nasz Naczelnik wzmocnił siły
I z Pleszowa i z Mogiły
Lud przybyły zaległ pole —
Najgoręcej a nie długo
Doń przemówił: „Chcesz dla siebie
„Orać zagon polski ludu —
„Nie szczędź dla niej krwi ni trudu,
„By jak anioł wolny w niebie
„Być tu jeno Bożym sługą!
„Chcesz wolności — bij jej wroga,
„Będziesz w Polsce jak u Boga!”.

A gdy drogą i przez pole
Burza-wojna szła z północy,
Nie oparły się topole
Sile wichrów, kul przemocy:
Ich wierzchołki-kapitele,
Co w niebiosa hen sięgały,
Pnie-kolumny ich jak wały
Legły w piasku, w zgliszcz popiele.
Wobec zła przemożnej siły
Rosochata wierzba mała,
Zgięta w dwoje, witki swemi
Przytuliwszy się do ziemi,
Wichrom, kulom się ostała;
Kołki liśćmi się okryły,
I o dziwo, z nową wiosną
Już z nich wierzby młode rosną!
I gdy przyszły młode latka,
Wypiękniała wierzba-matka
Za wytrwałość swą w nagrodę;
I urosły wierzby młode
W drzewa wielkie i wspaniałe,
Szumiąc liśćmi srebrzystemi,
Były tarczą Polskiej ziemi —
Na Kościuszki chwałę!

Aż po latach przyszła wielu,
Złotą, polską już jesienią,
Kiedy liście się czerwienią,
Wieść o Naczelnika zgonie!
I zabiło serce w dzwonie,

Zygmunt ozwał się z Wawelu,
Wszystkie serca się ozwały
I zapłakał naród cały!
I w jesiennych zórz opalu,
Od Pleszowa do Mogiły,
Srebrne wierzby zwiędły z żalu
I już się nie zieleniły.
Jedna tylko wierzba-matka
Rosła, kwitła mnogie latka,
Więc lud, widząc wolę Boską,
Nazwał wierzbę — *Kościuszkowską.*

1917 r.

Stół ten, jako drogą spuściznę po ojcach, przechowywał później Józef Cygan, zwany Rosą, w Pleszowie.

POCHÓD RYCERZY W DZIEŃ ZADUSZNY.

Fr. Chopin: Polonez As-dur. op. 44.

Liście, zwiędłe liście stroją dziś mogiły
W jesiennego słońca ostatnie rumieńce,
Ale kwiat pamięci bardziej dla nich miły,
Niż z nieśmiertelników najpiękniejsze wieńce!
Niech przeszłość, co stała się jeno legendą
Na słońce znów wyjdzie z mrocznego ukrycia,
A ci, co odeszli na wieki — przybędą
W Zaduszki, na Dziady, wezwani do życia!
Serca nasze, serca, otwórzmy naoścież,
Tym zaś, co przybędą z przeszłości dalekiej
Na ich zew — rzeknijmy: „O, drodzy! Zagośćcież
„Odtąd w naszych sercach na wieki, na wieki!”.

. . . .

Z Podola, *kolebki* niepodległych, z Baru
Sam rodzic *chorągiew* swoją niesie w dłoni;
Własną krwią i życiem trzech synów jej broni,
Wznosząc do godności ojczyzny sztandaru.
Klęknijmy! Świetlana postać się przybliża:
Kapelan *zbrojnego bractwa* i narodu
Prorok — błogosławi braciom znakiem krzyża;
Powstańmy! Już przeszła przednia straż pochodu.

Zastępy *bohater dwóch światów* otwiera —
Powitajmyż całem sercem bohatera,
Co chociaż za wolność z wrogiem walczył z chwałą
I oburącz szablę pod przysięgą trzyma —
Płonącemi bratnią miłością oczyma
Woła na świat cały: „Kocham ludzkość całą!".
Poprzedza go *Człowiek-Polska*; wzniósłszy głowę,
Piersi własnej tarczą bohatera słoni;
Dzierżąc złote pióro w niestrudzonej dłoni,
Śpiewa cudnym głosem dzieje narodowe.
A przy Naczelniku Najwyższym, co kosy
Błyskiem swoje imię wzbił, hen, pod niebiosy —
Z szlachcicem-maczugą na wrogów się brata,
Bohater od pługa, pułkownik z warsztata!
Pierwszemu *obrońcy* Polski, który z ziemi
Włoskiej do ojczystej z Legjonami swemi
Maszerował sławnie do świętego dzieła —
Śpiewa pieśniarz: „*Jeszcze Polska nie zginęła*!".
Bez trwogi, ni skazy, w największej ozdobie,
Wraca do nas rycerz, hen, już z Niebios progu,
Gdzie *honor Polaków*, powierzony sobie
Przez samego Boga — oddał znowu Bogu!
Z wzniesionym do księcia-rycerza ramieniem,
Jak kiedy go żegnał ostatniem spojrzeniem —
To rycerz-poeta, co w czas wojny krwawy
Choć chwilę poświęcał na mądre zabawy.
Znów rycerz-poeta przedziwnej urody!
Zabawom oddany, wnet zasłynął w męztwie,
Po godach młodości, gdy znalazł się w bitwie;
Po świetnem zaś trzeciem nad Moskwą zwycięztwie,

Już za naczelnika powstania na Litwie
Uznany przez jednych, dla innych zbyt młody —
Dowiódł, że był dosyć, niby kłos, dojrzały,
By pod kosą śmierci ledz na polu chwały
Z nieodstępnym druhem nie mniejszej odwagi,
Ginąc wraz na szańcach, w krwi płonącej Pragi.
Oto do bożyszcza wojny w wiecznym żalu
Bohaterzy, którym pozwoliły losy
Zdobyć ziemię sfinksów, twierdzę Port-Coralu,
Tudelę, Somo-Sierrę, mury Saragossy!
On zaś do ostatniej weń wierzącym chwili —
Nie dał, aby własną ojczyznę zdobyli!
W przedwczesnej na Solcu łunie, z twarzą bladą,
Jak w szkole, gdy wołał z obnażoną szpadą:
„Polacy! Godzina zemsty już wybiła!" —
Wiodąc towarzyszów swoich, ku nam dąży
Najmłodszy bohater Polski — *podchorąży*,
Lecz z wiarą niezłomną, z której bije siła!
Teraz nasze lica zbledną! Oto mary
Dwóch wodzów, sławionych pieśniami rodaków
Za waleczność w bojach — lecz wodzów bez wiary...
Choć z nimi bohater: cały pułk *Czwartaków*!
Choć przy nich zwycięztwo: Dąb, Wawer, Iganie!
Choć z nimi obrońca: ów z Wolskiej reduty,
Co nie złożył broni na wroga wezwanie,
Gdyż *„Polak poddaje się jedynie Bogu*!",
I poległ, żelazem bagnetów przekłóty,
By raport swój złożyć, hen, na niebios progu.
Czujecie, jak ziemia w posadach zadrżała?
Oto mąż, łańcuchem przykuty do działa.

Ten — *człowiek żelazny*, z pierśmi skrwawionemi!
Karabinów trzask i poświst kul słyszycie?
Słyszycie bolesny, och, skrzyp szubienicy?
Oto nasz ostatni już na polskiej ziemi
Naczelnik — w powrozie! Wszyscy dali życie
Za swą wiarę w Polskę! Wszyscy — męczennicy!

. . . .

Przez lądy i morza, hen, wygnańców szlakiem
Niech pamięć choć bieży znaczyć krzyża znakiem
Mogiły, gdziekolwjek złożone ich kości;
Śpiewając dziś: „Jeszcze Polska nie zginęła!",
Choć myślą uczcijmy w przededniu wolności —
Poległych, bo wolność — to owoc ich dzieła!

1917 r.

Pułascy — Ojciec Marek — Kościuszko — Niemcewicz — Madaliński — Głowacki — Kiliński — Dąbrowski — Wybicki — Poniatowski — Godebski — Jasiński — Korsak — Sułkowski — Bogusławski — Kąsinowski — Niegolewski — Dziewanowski — Wysocki — Chłopicki — Skrzynecki — Sowiński — Łukasiński — Konarski — Traugutt.

KOSZULA ŻOŁNIERZA.

Na Zamoyskim rynku,
Okolonym kamienic długą kolumnadą,
Przed ratuszem z wieżycą, nieba sięgającą,
Stał pułk drugi piechoty, prężąc się w ordynku
Jak cięciwa przede mną i ludu gromadą,
Co otaczał nas łukiem. Wrześniowe gorąco
Wiatr jesienny łagodził. Ale moje lica
Ogarnęły radości i dumy płomienie,
Gdy mówiłem: „Żołnierze! Przeze mnie stolica
„Swym i Polski obrońcom śle wam pozdrowienie!
„A na dowód wdzięczności przysyła podarki:
„Czekoladę i tytoń, chustki i sucharki,
„Scyzoryki i papier na listy do domu,
„Do rodziny, do swoich! Powiedzcie, co komu
„Potrzebniejsze — otrzyma w skromnym upominku
„Po zwycięztwie pierwszego waszego spoczynku.”.
Wóz ładowny zajechał. Jakby w wielkie święto,
Cisza rynek zaległa. Lecz kiedy odjęto
Deski skrzyń, ukazując skarby dla żołnierzy —
Orzeł biały na wietrze załopotał z wieży,
Lud nie wstrzymał radości, poszła wokół wrzawa,
Z serc żołnierskich bił okrzyk: „Niech żyje
Warszawa!”.

Takie uczuć bogactwo w tych, co krwi ofiary
Nie szczędzili dla Polski — tak skromne jej dary!
Czułem, że się purpurą stał mych lic rumieniec...
Patrzę, w pierwszym szeregu, tuż, żołnierz,
[młodzieniec,
Jeszcze niemal pacholę, z dumą bohatera,
Wyciągnięty jak struna, na lasce się wspiera.
Pytam go więc o zdrowie.—Ranny w pierś i nogę,
Osłabiony, lecz cały! — Czem służyć mu mogę,
Proszę jaknajuprzejmiej... Powtarzam pytanie
Jeszcze bardziej serdecznie, jak umiem najczulej...
Żołnierz jakby oniemiał... Aż po chwili: „Panie!"
Drżącym głosem wyszeptał „Ja nie mam koszuli.".
Na pół żartem, by pokryć mój wstyd i zmieszanie,
Zawołałem: „Rzeszotem stała się od kuli
„I napiera się kołka w śpichrzu? Dawno żołnierz
„Już ją włożył na siebie?" — „Nie" żołnierz odpowie
„Ja na sobie koszuli nie mam wcale." — Mrowie
Przeszło mnie aż do kości. Rozpiąłem mu kołnierz,
Odchyliłem munduru — i nagle zabłysło
Ciało nagą białością swą i świeżą blizną!
Czy w tej chwili tam słońce zagasło nad Wisłą —
Nie wiem, ale mi w oczach ściemniało... Ojczyzno!
Kto, rzucony na pastwę nędzy, karabinu
Nie porzucił — jakiegoż nie dokona czynu?
W srebro Bochni i Ślązka djamenty bogata,
Polsko, gdybyś nagradzać mogła sama — hojny
Byłby dar twój, sowita za czyny zapłata,
Nagród miałabyś dość dla wszystkich ofiar wojny.

Tym, co noszą . . . . bogate mundury,
. . . .
. . . .
Zostawiłabyś wszystko, wszystko, prócz... koszuli.
Niech ich . . . . złoty szych upierza,
Bliższa sercu ojczyzny koszula żołnierza.

Zamość, we wrześniu 1920 roku.

ŁASZCZYŃSKI

WYSOKI PRÓG

POEZJE

Io sogno una casetta solitaria,
in riva al mare, fra un pallor d'olivi.

GIOVANNI COSTANZI.

WYSOKI PRÓG.

Wysoki domu mego próg
I w słońcu szczyt mej chaty,
Jak król w niej jam bogaty —
Możniejszy, wyższy jeno Bóg!

Wysoki domu mego próg,
Lecz wrota doń otwarte,
Archanioł sprawia wartę —
Nie może go przestąpić wróg.

Wysoki domu mego próg
Dla tych się jeno zniża,
Co wchodzą z znakiem krzyża —
Gość w dom to jakby w domu Bóg!

Hen, w słońcu chaty mojej szczyt,
Słoneczny blask na przyzbie,
I w oknie mem i w izbie —
Gdy krasną zorzą spłonie świt.

Hen, w słońcu chaty mojej szczyt,
Jak gniazdo to sokole,
Słoneczny blask na czole —
W mej duszy szczęścia złoty wid!

Hen, w słońcu chaty mojej szczyt,
Słoneczne w niej natchnienia,
Ni mroku, ani cienia —
Gdy krasną zorzą spłonie świt.

Jam możny w domu mym jak król,
Mam szczere złoto słońca,
Djamenty gwiazd bez końca,
I żalu łzy i krzywdy ból.

Jam możny w domu mym jak król
I będzie ten bogaty,
Kto wejdzie do mej chaty,
Wygnany ze swych chat i pól.

Jam możny w domu mym jak król
I szczodry i wspaniały:
Dla braci skarb mój cały,
A dla mnie jeno łzy i ból

1915 r.

DWÓR POLSKI.

Gdzie pluszcze cicho Meszna, w półmroku wieczoru,
Kryjącego już senny park, szosę i pola,
W wielkiej sali starego samotnego dworu
Zapaliłem raz wszystkie świece żyrandola —
Jak na wielki bal!... Światła, płonące pod stropem,
Cisnął wieloramienny bronz słonecznym snopem
Na sufit, zkąd złotemi kłosami po ścianach
I kolumnach rzęsiście zwisły na obrazy,
Rozsiadły się na meblach, klękły na dywanach,
W szybach okien, zwierciadłach odbite sto razy.
W świetle wszystko ożyło!... W narożnikach sali
Zadrżały nagle białych posągów oblicza:
Tu dawno zapomniany Brodziński się żali,
Tam Pasterka uśmiecha się do Mickiewicza,
Owdzie szepce Faust, nową młodością bogaty:
„Kocham!" — do Margeryty zdobnej w Siebla kwiaty.
Z ram złotych wychyliły się przodków postacie:
Ojciec z sumiastym, dziadek z podstrzyżonym wąsem,
Prastryj w fioletach, babka w perłach, w białej szacie,
Praciotka w czepcu, w haftach — posuwistym pląsem
Poloneza, jak ongi przy dźwiękach kapeli,
Pod Napoleończyka wodzą z minjatury,
Jakgdyby przez tę salę przejść za chwilę chcieli.
Rozżarzyły się światła, rozjaśniły mury...

Lecz umilkły grające tęczą barw kryształy,
Co się pod żyrandolem, dzwoniąc, kołysały,
I cisza, wielka cisza!... Więc by przerwać ciszę,
Zasiadłem do pianina, uderzam w klawisze
I oto, zaklinając przeszłość, z pod mej ręki
Płyną tony głębokie i wysokie dźwięki,
Rozśpiewane jak dzwonów spiż na Alleluję!
Gra muzyka!... Wtem słyszę kroki... nie wiem czyje,
Nie patrzę... Tak, ugina się posadzka — czuję!
Słyszę serc czyichś bicie!... Taniec!... Sala żyje!...

. . . .

Zaparłem oddech, swemu bić nie dając sercu,
I nagłem poza siebie spojrzał: na kobiercu,
Jaśniejącym swą bielą pośród pustej sali,
Zwrócone ku siedzącej opodal kobiecie,
Kołysząc się jak lilja na jeziora fali,
Tańczyło wdzięcznie w rytm muzyki — dziecię!

Smardzew, 12 września 1922 r.

GÓRA ZAMKOWA.

W zachwycie i radości i żalu i smutku,
Przy omszałych ruinach z cegieł i kamieni,
Stanąłem na Zamkowej Górze w Nowogródku,
Osłoniętej kobiercem jesiennej zieleni.

Przede mną u stóp góry, w olbrzymiej dolinie,
Poza fossą zielenią się ozime pola,
Złocą rżyska, czernieje zaorana rola,
W mgle jesiennej widnokrąg szarzeje i ginie.

Zwracam spojrzenie: z prawej strony, na wzniesieniu,
Blizko Góry Zamkowej fara cała w bieli,
Jak Sonka tam przy ślubnem z Jagiełłą złączeniu —
Tam ja słuchałem summy ostatniej niedzieli;

Tam w absydzie gotyckiej był chrzest Mickiewicza;
Później ztamtąd on patrzył na Górę Zamkową,
Aż natchnionym źrenicom wieszczego oblicza,
Zjawiła się Grażyna nocą księżycową.

Wizjo cudna! Czytając poemat Adama,
Widziałem cię... Dziś widzę zamek Erdziwiłła
Na Górze Nowogródzkiej, ten sam most i brama
I rycerz w czarnym płaszczu — tyś mi się nie śniła.

Wizjo cudna! Gdzie jesteś? Wiatr, zawodząc, targa
Me szaty, chłodzi lica, wichrzy moje włosy.
Ruiny nieme milczą. Wołanie jak skarga
Z piersi mej bije w sine bez słońca niebiosy.

I niebo milczy? Słońce ukrył przestwór siny,
Prawda w niebie ukryta. Więc wy mi ją wskażcie,
Kruki, od wieków gniazda wijące na baszcie,
Coście ongi widziały? — Ruiny!... Ruiny!

Nowogródek, 2 października 1923 r.

JEDNA KROPLA.

Gdy słońce zapaliło niebiosa płomieniem
Najjaśniejszej róży —
Dlaczego moje oczy zasłonięte cieniem
I czoło się chmurzy,
A serce w błyskawicach myśli jakby z drżeniem
Oczekuje burzy?

Gdy niema nic wyższego dla mych pióropuszy
Ponad rozkaz Boży —
Dlaczego moja wola w buncie krwi się kruszy,
Choć duma nie korzy,
A z piersi ból się wdziera falą łez do duszy,
Do mej złotej zorzy?

Wichrowy pęd w natchnieniu skrzydeł jej anielich —
To nie lot Ikara
I nigdy nie upadnie ziemski pył na biel ich,
Chociaż dola szara
I wciąż goryczy pełen życia mego kielich —
Dziś przebrana miara?

Czy szatan wstrząsnął nagle granitami wiary,
Lęk ogarnął mnicha
I serce jeszcze jednej nie zdzierży ofiary,
Duszy pieśń ucicha?

Ach, tylko jedna kropla wpadła do mej czary...
Lecz z twego kielicha!

Więc z niepokojem zbliża się znów skroń do skroni,
Badając, zkąd męka?
Spogląda serce w serce i oto już dzwoni
Jak dawniej piosenka...
Śpiesz! Długo niech nie czeka przyjazna ci ręka
Na uścisk twej dłoni!

1929 r.

ŁASZCZYŃSKI

MOJE DROGI

POEZJE

NAJJAŚNIEJSZA DROGA.

B Ó G
Najwyższym celem jest — najwyższem prawem
Duszy zbawienie!
Choć po żniwie krwawem
Chciwość na życie rzuca śmierci cienie —
Idę wciąż w słońcu
Najjaśniejszą z dróg,
Pośród ojczystych pól, po łąk kobiercu,
Z słońcem na czole i ze słońcem w sercu —
Tam, gdzie na końcu
Doskonałość: BÓG!
Wierzę!
Jak myślę jasno, tak i szczerze
Mówię i prosto tak czynię.
A ty mnie
Pytasz, czym z duszy uczynił świątynię?
I żali każdy w mego serca hymnie
Dźwięk jest jedynie
Poświęcony BOGU?
Tak, wierzę, wierzę!
W bramie szczęścia z tęczy
Cudów już klęczy
Na najwyższym progu
Mój duch... Choć na nim jeszcze ziemska szata,
Nie zzuł pielgrzymich sandałów i ziemi

Najlżejszy pył mu tak ciąży — skrzydlata
Myśl wciąż drogami leci wichrowemi
Do BOGA! Wierzę, wierzę, wierzę!

Gdybym nie wierzył w BOGA,
Który we mnie
Tchnął Swego Ducha, dar nieśmiertelności;
Że ludzkie życie to droga
Nie w ciemnię
Grobu wiodąca, ale do światłości;
Że tęskniąc do niej wciąż nienadaremnie,
Dojdę niemylnie do doskonałości,
Tam, kędy był już duch przed wieków wiekiem —
Gdybym nie wierzył — nie byłbym Człowiekiem!

Gdybym nie wierzył w lud,
Z którego ducha
I krwi i kości
Duchem, ciałem jestem;
Że BÓG modlitwy pokoleń wysłucha
I dla wolności
Trud
Sybirskim szlakiem
Idących, życiem uświęcony całem,
Będzie nie próżnym helotów protestem,
Ale narodu zwycięztwem wspaniałem —
Gdybym nie wierzył — nie byłbym Polakiem!

Gdybym nie wierzył w prawdy, dobra, linji,
Barw, dźwięków — piękno,
Które BÓG wciąż czyni,

A człowiek kazi; że w akordzie zgody
Symfonji życia ludy i narody,
Złączone myślą jedną, wielką czystą,
Uklękną
Społem przed najwyższym progiem,
By się zjednoczyć już na wieki z BOGIEM —
Gdybym nie wierzył — nie byłbym Artystą!

1913 r.

PROSTA DROGA.

O każdej dnia i roku porze
Twój wielki świat, o, wielki Boże,
Tak piękny jest, ze moje serce
Nacieszyć się nim dość nie może.
Sen odbiegł mnie. Rzuciłem łoże.
O świcie pól i łąk kobierce
W kąpieli jeszcze nocnej rosy,
Tęczowe wkoło lśnią djamenty;
Lecz słychać już skowronków głosy,
Odurza zapach wonnej mięty.
Pod wiatrem szumią złote kłosy...
Więc czynię znak Chrystusa święty
I oto idę wiejską drogą
W poranną, hen wschodzącą zorzę;
A dość nacieszyć się nie może
Mój duch, tak dobrze mu i błogo.
I tężę piersi, słuch, źrenice
I chłonę barwy, dźwięki, wonie
I całą wielką ich symfonję.
I zda mi się, że w moje lice
Rumieńcem wiatr bijący schwycę
Zachwytu mocą w swoje dłonie.

Jak w najszczęśliwsze dni dziecięce
Do matki podnosiłem ręce,

Gdy pierwszym jazdy mej konikiem
Kolano było mi rodzica —
Tak dziś ze szczęścia znów okrzykiem,
Gdy cały świat mnie już zachwyca,
Wyciągam oto doń ramiona.
Chce serce mi wyskoczyć z łona:
Schwytałem w dłonie wiatr, bo nagle
Targana przezeń niby żagle
Zapadła grusza polna w ciszę;
Nie chwieje się i nie kołysze
Przed chwilą jeszcze niwa szumna,
A każdy kłos jej jak kolumna
Nade mnie wznosi się w niebiosa.
Umilkła pieśń miljonnokłosa
I skowronkowe pól hejnały
W dąbrowy echu wraz skonały.
W miljonie kłosów cały tonę
I piję ciszę lazurową
I jeno błękit mam nad głową,
A w nim przed szczęściem swą obronę —
Przed zbytkiem szczęścia! Przed puharem,
Który napełnił Pan bezmiarem
I słudze swemu dał do picia.
O, jakże wielka jest ta chwila!
To najszczęśliwsza chwila życia!
Tak cicho... Słyszę lot motyla,
Tęczowe widzę jego skrzydła...
Ażali już się los przesila
I skuszą serce znów mamidła?...
To dla nich się ma dłoń rozchyla,

Wypuszcza wiatr siejący burzę,
By posiąść miraż, co znikł w górze.

O, żegnaj mi ukojna ciszo!
Znów łany pszenne się kołyszą
I szumi wiatr i targa gruszę;
Ozwały się ptaszęce głosy...
Wychodzę z fali złotokłosej
I znowu jestem w zawierusze
I cierpię, walczę, żyję!... Kamień
Legł ostrym grotem pośród drogi,
Tu chwasty, tam kolące głogi
I nie zostało nic z omamień.
Promienne słońce już wysoko
I prawdę dobrze widzi oko:
Chcę cierpieć, walczyć, żyć! By wkońcu
Wieczności płomień wydrzeć słońcu!

Przedemną oto prosta droga
Do wioskowego wiedzie krzyża...
Do celu idę — ona zbliża
D o   B o g a!

Rakowice, 1926 r.

SŁONECZNA DROGA.

W złotego słońca blasku,
Co tchnie płomieniem, chodzę...
A białe pyły piasku
Wzdłuż kłębią się na drodze
I z pod mych stóp obłokiem,
Przez rów zielony, nizko,
Nad polem, nad szerokiem —
Na złote lecą rżysko.

W jesiennem słońcu złotem
Jak król w purpurze chodzę...
A tuż robotnik młotem
Ubija żwir na drodze;
I będzie kował w trudzie,
Aż zgodnie z przeznaczeniem
Po latach dobrzy ludzie
Przywalą go kamieniem.

I w złotem słońcu chodzę,
We wschodu patrząc zorzę...
A tuż po bitej drodze
Chłop wiezie w snopach zboże;
I będzie woził w trudzie,
Przed śmierci blednąc grozą,

Aż kiedyś dobrzy ludzie
Na cmentarz go zawiozą.

I chodzę w złocie słońca,
W zachodu patrząc zorzę...
A z końca hen do końca
Chłop rżysko pługiem orze;
I będzie orał w trudzie,
Aż zgodnie z wolą Bożą
Po latach dobrzy ludzie
W tej ziemi go zaorzą.

W złotego słońca blasku
Jak król w szkarłacie chodzę...
A białe pyły piasku
Wzdłuż kłębią się na drodze;
I będą w dal leciały
Do drogi mojej końca,
Aż mi ich obłok biały
Zasłoni blaski słońca!

1913 r.

KRWAWA DROGA.

Gdy umilkł ptasząt śpiew
I zwiędły liście drzew,
W jesieni polskiej porze,
W zachodu patrząc zorze,
Na pierwszy śmierci zew,
Jak wojny wid przez krew,
Przez liści krwawych morze —
Do Ciebie szedłem, Boże!

Z ognistych życia prób
Tę broń, coś dał mi w rękę,
Pod Twoją niosłem Mękę,
Jakgdyby przecież w grób!
Choć niosłem Ci do stóp
Serdeczną mą piosenkę
I duszy mej lirenkę —
Na serca nowy ślub.

Po za mną serca stal,
Więc moja myśl ucieka
W nieznaną ducha dal,
Gdzie może nikt nie czeka?
Lecz choć przeszłości żal,
A przyszłość tak daleka —

O, Panie! z życia fal
Ja niosę Ci człowieka.

Niech wróci, wróci to
Do Ciebie, co jest z Ciebie,
Nie umrze, jako mrą
Miljony w krwi potrzebie,
Przemocy ludzkiej: o
Na wieki nie pogrzebie —
Ty zbawisz, zbawisz go
W dobroci Swojej niebie!

Gdy gędźbą ptasząt śpiew
I szatą liście drzew
Znów w wiosny polskiej porze,
We wschodu patrząc zorze,
Na drugi życia zew,
Jak wojny wid przez krew,
Po krwawych ziem ugorze —
Do Ciebie wracam, Boże!

1916 r.

NA ROZDROŻU.

Dziecińistwo me, chłopięcy wieku mój!
Napróżno was powrócićbym dziś rad:
Uchodzi czas, przeszłości niszcząc ślad —
Daremnie go zaklinam: w biegu stój!
Inaczej sam dziś na ten patrzę świat,
Nie płonię lic wstydliwą krasą róż
I wiem, że nic nie wróci mi jej już —
Odarto mnie z czarownych marzeń szat!
Z przed oczów mych tęczowa znikła mgła —
Rozwiał ją czas, odwieczny piękna wróg,
I życia wraz ujrzałem wiele dróg,
A jedną z nich szła ludzkość — drogą zła.
A nie szedł nikt tą, którą wskazał Bóg,
Po której wiódł sam Chrystus wierną brać
Do Niebios wrót, na której piasku znać
Wieczysty ślad skrwawionych Jego nóg.
A nie szedł nikt tą z wielu życia dróg,
Po której sam Zbawiciel świata wiódł
Do Niebios bram swych uczni wierny lud,
A która szła przez cierń i darń i głóg.
Bo nawet tych, co krzyża nieśli znak,
Ogarnął lęk ofiary własnej krwi,
I ducha mąk i pierwszych chrześćjan dni,
Więc pusty był wytknięty przez nich szlak.

Zaś drogą zła szedł niezliczony tłum,
Bez serc, jak głaz weselnym gwarem wrzał,
I zewsząd biegł, a chyżo, lotem strzał —
Gdzie szatan wzniósł złotego cielca tum.
Już czasu prąd porywał mnie jak liść,
Jesieni tchem strącony z wyżyn drzew,
Gdy w sercu mem zawrzała dumna krew:
Ażali mnie z wszystkimi społem iść?

Wtem syren śpiew czystością brzmień dziewiczy,
Wionący czar i pełen, ach, słodyczy,
Do duszy mej błękitną spłynął falą
Z niebiańskich stref, co w słońcu się kryształą.
A śpiew ich brzmiał uroczo jak marzenie:
„Tu życiem szał, rozkoszą upojenie!
„Do uciech kruż zbliż usta swe, do czary,
„Z bachantek ust Olimpu czerp nektary!
„Szyderstwa śmiech wahanie twe obudzi,
„Z śmiertelnych nikt nie oprze nam się ludzi!
„Nim zechcesz żyć inaczej a szlachetnie,
„Nim Parka nić żywota twego przetnie,
„Z młodzieńczych lat korzystaj póki czas —
„Młodości kwiat zakwita tylko raz!".
A kiedy cichł śpiew syren, kusząc mile,
Bachantek rój, powiewnych jak motyle,
Girlandą ciał opasał zmysły moje,
A każdej z nich nęciły mnie ust zdroje!
I szept: „Czyś mnich, co uciech nie zna czary?"
I krzyk: „Tyś mój, z ust moich pij nektary!" —

Namiętny szał białego cudnie łona
I każdej z nich nęciły mnie ramiona!
Aż ramion tych wężowem uczuł sploty!
Lecz zanim już pić nektar jąłem złoty,
Zawartość kruż chcąc wszystką poznać wprzód,
Na spodzie ich ujrzałem nagle brud!
A wtedy mnie ogarnął taki wstręt,
I taki żal i taki ból i gniew,
Żem oto był jak ranny w puszczy lew!
— Więc uciech dni o zmierzchu kryją męt?
Prócz wdzięcznych lich i cudnych śnieżnych łon
Nie dadzą nic i tylko później skon?
Geniusze zła, odemnie pójdźcie precz!
Nie bedę pił z zatrutych jadem czasz,
Ze wszystkich sił odtrącam kielich wasz! —
A słowa me jak ostry cięły miecz.
Zaś dumy głos mojemu sercu rzekł:
„Z szyderstwa szydź, ze śmiechu ty się śmiej,
„I śmiało idź po własnej drodze swej,
„Na ludzkich spraw nie bacząc zgoła bieg;
„Bo życie jest na ziemi tylko snem,
Chcąc zyskać cześć — zwycięzko walcz ze złem!”.

O, Boże mój, jak wielka dobroć Twa,
Że dała mi tak dumnym zawsze być,
Że dzięki niej, z kruż uciech pragnąc pić,
Ujrzałem wpierw ukryte męty dna!

Po za mną już żywota mego zdrój:
Dzieciństwo me i wiek chłopięcy mój!

U moich stóp wezbrana szumi rzeka —
W jej falach grób ofiary swojej czeka.

Żegnaj, czarowny, złoty śnie
Młodzieńczych moich lat:
Już z pączka wyrósł kwiat —
O, prawdo życia, witam cię!

1894 r.

Łaszczyński „Na rozdrożu"
Noskowski „Cantique d'amour"
Melodeklamacja — układ prof. F. Starczewskiego.

ŁASZCZYŃSKI

POETA I MIŁOŚĆ

POEZJE

Io vivo per amare e per cantare.

GIOVANNI MARIO.

POZDROWIENIE.

Znikłaś nagle mi z oczu: moda wielkopańska
Latem każe dla zdrowia wyjechać nad morze...
Pierzchły moje marzenia — zrządzenie snać Boże:
Dziś u twoich stóp Bałtyk i zatoka Gdańska.

Mnie z chaosu miejskiego nawet świętojańska
Noc do lasu po szczęście sprowadzić nie może:
Nad Warszawą dni moich błysły pierwsze zorze,
Droga sercu mojemu przeszłość jej mieszczańska.

Lecz Wisła nakształt wstęgi długiej a szerokiej,
Pomiędzy mną a tobą wijąc się — kryształi,
I teraz, jeśli zwrócisz ku niej swoje kroki,

Aby legend posłuchać u wiślanej fali,
Nim ją Bałtyk pochłonie w wir Gdańskiej zatoki —
Usłyszysz pozdrowienie moje choć z oddali!

W KARNAWALE.

I.

Z wielkiej sali balowej, kędy życie wrzało,
Gdzie do tańca muzyka sama rozpłomienia,
Szukając trochę ciszy, więcej zapomnienia,
Uciekłem do cieplarni pod palmę wspaniałą.

I nie wiem już doprawdy sam, jak się to stało,
Że zbudziłaś mnie nagle z tego zamyślenia,
Gdy wachlarzem dotknąwszy mojego ramienia:
„Czy poeta nie tańczy?" — spytałaś nieśmiało.

Odrzekłem ci przeczącym tylko ruchem głowy.
Niepomna obowiązków swych balu królowej,
Usiadłaś wtedy przy mnie w cieniu pomarańczy

I słuchałaś w skupieniu naszych dusz rozmowy —
Dopóki jej nie przerwał natręt samozwańczy,
Zapytując nieśmiało: „Czy pani nie tańczy?".

II.

Pośród światła i woni, na sali balowej,
Jaśniejąca urokiem wszystkiej krasy swojej,
Tak przedemną stanęłaś, jak Minerwa w zbroi,
Niespodzianie z Jowisza wychodząca głowy.

Natychmiast przedstawiono mnie balu królowej,
Nie wątpiąc, że poeta pola ci dostoi,
I niemylnie: w cieplarni, jak w cichej ostoi,
Zastał nas na... rozmowie wreszcie świt różowy.

Umilkła zaraz w sali muzyka wesoła,
Par dorodnych ochoczy ustał nagle taniec,
Choć z radosnym uśmiechem przybył dnia wysłaniec;

Lecz z oddali już oto sygnaturka woła,
Bal skończony, więc proszę panią do kościoła:
Pójdziemy tam we dwoje teraz na... różaniec.

PRZY PIANINIE.

Pamiętasz wieczór letni, gdyśmy razem byli,
Choć nie sami, lecz sobą zajęci jedynie?
O, nigdy nie zapomnę tej czarownej chwili:
Ty grałaś — ja słuchałem, stojąc przy pianinie.

W salonie z gwarem rozmów łączące się dźwięki
Tworzyły chaotycznie pomieszane brzmienia...
Wtem pragnąc ci dopomódz w wygraniu piosenki,
Dotknąłem swem ramieniem twojego ramienia.

„Kocham cię!" powiedziałaś wtedy cicho do mnie,
I oto wypełniły się moje marzenia
I uczułem, że jestem szczęśliwy ogromnie,
I że nagle me serce miłość opłomienia.

Naraz cisza zaległa w całem zgromadzeniu,
Poczęto przysłuchiwać się naszej piosence...
Przestałaś grać... Żegnając się z tobą w milczeniu,
Do mych ust przycisnąłem obie twoje ręce.

Zmilkły dźwięki — zostało tylko ich wspomnienie,
Lecz daremnie odzyskać chciałbym serca ciszę;
Chociaż słowa twe były ciche jak westchnienie —
„Kocham cię!" od tej chwili nieustannie słyszę.

PIEŚŃ ZAKAZANA.

Pamiętasz w dzień lipcowy słoneczne południe,
Gdy ogniem przepojone gorzało powietrze?
Szłaś ze mną ścieżką polną w batysty najletsze
I w przezroczyste gazy ubrana przecudnie.
Do twoich stóp w pokłonie chyląc złote kłosy,
Gorący wiatr rozwiewał twoje złote włosy,
A taka złota jasność biła mi od ciebie,
Żem nie wiedział gdzie słońce: w licach twych czy
[w niebie?
Pamiętasz ten szum zboża? Jeszcze dziś go słyszę!
A potem niespodzianie, nagle wielką ciszę,
Gdy umilkł wiatr, jakgdyby przepadł w zawierusze,
I zcichły usta nasze, jak w przybytku Pana...
Miłości hymn śpiewały wtedy nasze dusze,
A dziś, niestety, dla nas to pieśń zakazana!

Pamiętasz księżycowy jasny wieczór letni,
Gdy w dworku modrzewiowym stojącej na progu
Życzyłem: „Dobrej nocy!" zlecając cię Bogu?
„Dobranoc!" łkał ostatni dźwięk pasterskiej fletni,
„Dobranoc!" wkrąg szumiały kasztanowe liście
I księżyc: „Dobrej nocy!" wołał z wyż srebrzyście;
A tak srebrzysta jasność biła mi od ciebie,
Żem nie wiedział gdzie gwiazdy: w oczach twych
[czy w niebie?

Pamiętasz wieczór letni, jasny, a tak cichy,
Że słychać było nawet, jak kwiatów kielichy
Dzwoniły srebrną rosą, gdy mieszkańcom sioła
Archanioł snu stroskane wypogodził czoła,
Gdy umilkł wiatr, jakgdyby przepadł w zawierusze,
I zcichły usta nasze, jak w przybytku Pana...
Miłości hymn śpiewały wtedy nasze dusze,
A dziś, niestety, dla nas to pieśń zakazana!

O szczęściu tobie śnić nie wolno, ja — nie mogę!
Bo każąc iść przez życie, co tu jest gehenną,
Obojgu nam Przedwieczny jedną wskazał drogę,
Lecz ty wybrałaś inną, jam poszedł odmienną;
I gdyby przyszłość z Wiarą nie przyszła płomienną,
Co blaskiem swoim gasi tęsknoty pożogę —
Kto serce przed rozpaczą wstrzymałby bezdenną
I kto w niem ciszy wiecznej zwyciężyłby trwogę?
Za własną winę cierpię te ducha katusze,
Więc one mię nie trwożą i bunt myśli kruszę —
Niech krwią wybucha teraz serca mego rana!
Ja wiem, że połączone przed obliczem Pana
Miłości hymn znów śpiewać będą nasze dusze,
Choć dziś, niestety, dla nas to pieśń zakazana!

JEDNO SPOJRZENIE.

Kiedy z rozpromienionem od szczęścia obliczem
Wstępowałaś na nową życia swego drogę —
Widząc, że towarzyszyć dalej ci nie mogę,
Zostałem sam w przeczuciu twych łez tajemniczem.

Spełniło się! W żałobie po szczęściu zwodniczem,
Przebytych cierpień kryjąc w duszy swojej trwogę,
Stanęłaś dziś przedemną, stłumioną pożogę
Miłości czyniąc znowu serca mego zniczem.

I choć błękit twych oczów zaszedł smutku cieniem,
Gdy oto niespodzianie znów ujrzałem ciebie,
To jakby słońce szczęścia błysło mi na niebie!

Okrutna czarodziejko! Patrz: jednem spojrzeniem
W sercu mojem wskrzesiłaś przeszłość, by za chwilę
Do życia przywołaną — powrócić mogile!

REDUTA.

Śród ciszy letniej wieczora,
W srebrzystych blaskach miesiąca,
Żegnałaś mnie raz u proga
Miłością tak jaśniejąca,
Jakgdyby dla mnie się droga
Rozwarła nagle do słońca!
Niestety, było to wczora.

A dziś, witając się z tobą,
Gdy znów stanęłaś przede mną
W czarnego barwie gołębia,
Przypomnieć chciałem daremno,
Jakgdyby duszy mej głębia,
Okryta serca żałobą,
Przepaścią stała się ciemną.

Wschodzącej zorzy przed laty
Tak olśniewały mnie blaski,
Trwożyło szczęścia przeczucie,
Me lica strojąc w szkarłaty,
Że dziś na życia reducie,
Gdyś ty przywdziała jej szaty —
Ja występuję bez maski.

I znów powiedzą, że ściga
Los przeznaczenia ofiary,
Przed sercem cofnie się serce,
Odejdzie czara od czary,
Choć nie da małej iskierce
Wybuchnąć w wielkie pożary
Jedynie własna intryga!

CARO NOME.

Nie ja te wiersze kreślę —
urok twój je pisze!
ZAGÓRSKI.

Rzuciłaś na mnie czar uroczem twem spojrzeniem
I wszystkim myślom mym kazałaś biedz do siebie —
O tobiem marzył jeszcze, gdy był świt na niebie,
Aż usnąłem z twojem na ustach imieniem.

Napróżno jednak sen zasłonił swoim cieniem
Przed memi źrenicami cały świat i ciebie —
Jak nieśmiertelna dusza na ciała pogrzebie,
Serce moje płonęło miłości płomieniem.

Sen uleciał i wiem, że znów na mękę wstanę,
Już dzień! ale mych oczów otworzyć się boję —
Sen jak balsam serdeczną koił moją ranę;

Już dzień! zamknięte szczęścia przedemną podwoje,
We śnie czuły me usta usta ukochane —
Już dzień! ach, to na moich ustach imię twoje!

WRÓCIŁO SŁOŃCE...

Wróciło słońce,
Wrócił maj,
Wróciły złote sny —
Znów szczęścia gońce
Wróżą raj,
Wróciłaś bowiem ty!

I choć wierzyłem, że już dni
Mych szarych nie odmienię —
Minioną dolę wraca mi
Dziś jedno twe spojrzenie.

Albowiem znowu czar twój padł
Na mą milczącą duszę
I znów, cierpienia długich lat
Niepomny, śpiewać muszę.

I chociaż szły już moje dnie
Ku śmierci niestrudzenie —
Do życia dziś wróciłaś mnie,
Wracając mi natchnienie.

Wróciło słońce,
Wrócił maj,
Wróciły złote sny —

Znów szczęścia gońce
Wróżą raj,
Wróciłaś bowiem ty!

Lecz jutro już wiosenna burza
Położy kres mym snom
I nim zakwitnie pierwsza róża —
Uderzy pierwszy grom!

KRÓLEWICZ MAJ.

— Wiosenny świt rozproszył nocy cień
I róże wkrąg rozrzucił dziś po niebie;
Pragnących ust nie czułaś żaru tchnień,
Słowika śpiew czy nie obudził ciebie?

Królewicz Maj na naszą zstąpił ziemię,
W szmaragdach traw i fiołków, bzów djademie;
Czy wonny czar ich owiał twoje skronie
I mocniej ci zabiło serce w łonie?

— Kominów dym zasłonił świtu róże,
A fiołki, bzy wbił w ziemię ulic bruk,
I skroni mej ich wonią nie odurzę,
Słowika pieśń zagłuszył maszyn huk!

Pragnących ust nie czułam żaru tchnień,
Królewicz Maj był jeno w moim śnie,
Lecz ujrzę go na jawie w cudny dzień,
Gdy przyjdziesz ty i powiesz: „Kocham cię!”.

PIERWSZY LIST.

Na świecie —
Wiosny
Czar,
Traw zieleń, kwiecie
Drzew,
Radosny
Ptasząt śpiew —
Tu jeno zgiełk i gwar!
A przecież w sercu żar
I żywiej krąży krew!

Tam słońce już od świtu
Jaśnieje hen z błękitu,
A drzewa
Kwieciem prószą,
Przyroda cała śpiewa!
Tu, gdzie piwniczna pleśń,
Bzów zapach nie przenika;
Tu miejski huk
I świst,
W fabrycznych dymów mgle,
Słowika
Tłumią pieśń;

Bruk,
Mury się nie wzruszą,
Tu wieczna bladość lic...
Lecz nic, to nic, to nic!
Czuj wiosny
Tchnienie duszą!
Miłosny
Pierwszy list
Królewicz Maj ci śle!
Nim serce ci uroczy —
Ty z pierwszej rosy łzą,
Rzęs cieniem kryjąc oczy,
Ustami czytaj go!

MRÓZ BIAŁY.

Weneckie wielkie okno mróz rozjaśnił biały:
Na szybach szron się iskrzy, lodu lśnią kryształy;
Szarotki siwe, gwiazdy ziemi, niebios zbiegi,
Z miłości do niej skryte w gór odwieczne śniegi,
I wód dziewanny, lilje srebrzyste się bielą,
Jak latem, nad promienną w słońcu fal topielą.
W weneckiem wielkiem oknie jakże śnieżnie, biało!...
Lecz gdy z obawy, że mnie jasność ta uroczy,
Ku tobie zachwycone zwróciwszy źrenice,
Spojrzałem w twoje śnieżne, jak dwie róże, lice,
W płomienne, jak dwa słońca, jasne twoje oczy —
Majowe tchnienie wiosny nagle mnie owiało!
Na szybach lilje bledną, gwiazdy górskie gasną...
W weneckiem wielkiem oknie jeszcze bardziej jasno!

BEZ SERCA.

Bez serca! — zawołałaś, gdy rzekłem: Odchodzę! —
Nie baczna, że mnie święty obowiązek wzywa.
W wyroku takim jest już i kara straszliwa:
Bez serca! — wciąż słyszałem w mej samotnej drodze.

Bez serca!... Czy spłonęło w pożądań pożodze?
Czy poszło stać się ludziom Weroniki chustą?
Czy wcale go nie było i w piersi mej pusto,
Bez serca?... Czy też może skrzywdziłaś mnie srodze?

Bez serca?... Czemże duszy własnej ból łagodzę?
Już tyle lat przeżyłem, przecierpiałem tyle...
Ażali mógłbym przetrwać jeszcze jedną chwilę
Bez serca, będąc wciąż o twoje serce w trwodze?

GWIAZDY.

W lipcową noc na Wisłą zgasły złote gwiazdy,
Gdy jakaś czarodziejka rzuciła przed nami
Swą laskę, jaśniejącą świateł djamentami,
By drogowskazem były nocnej naszej jazdy.

Warszawa! To jej linja lamp nad brzegiem Wisły
Odbija się stalowym błyskiem w czarnej fali...
Gdy światła djamentowe zostały w oddali —
Płynącym w mroczną dal znów gwiazdy nam zabłysły.

Powiał wiatr... Zaszumiały ciche wód odmęty,
Złote gwiazdy ukryły się za chmur zasłoną —
Tem ogniściej w ciemnościach nocy letniej płoną
Twoje oczy, świecące jak czarne djamenty.

ŁASZCZYŃSKI

WIERSZE NIECENZURALNE

POEZJE

Z tajnego czasopisma „Młody Świat", wydawanego w latach 1889 —1891 w Warszawie — drukowane w Krakowie 1894 r. w tygodnikach „Prawda" i „Praca".

POBUDKA.

Otrząście grobów pleśń,
Powstańcie w dawnej sile!
Niech zbudzi moja pieśń
Rejtana Termopile;
   Bój krwawy w Saragossie,
   Zdobycie Somosierra —
   Niech zaklnę dziś w eposie,
   Co nigdy nie umiera.
Hej, polscy legjoniści,
Otrząście trumien pył!
Nim sen się grobów ziści,
Powstańcie w pełni sił.
   Nim drogie nam cmentarze
   Z Sybirskich znikną szlaków,
   Niech braciom mym ukażę
   Krakusów i czwartaków.
Przed ludem Polski, Litwy
I Rusi niechaj stanie
Grochowskiej obraz bitwy,
Dąb, Wawer i Iganie
   Unickich siół męczeństwo,
   Co serce me zakrwawia —
   Carowi na przekleństwo,
   Na hańbę prawosławia!
Nauczy blask oręża
I widok bohatera,
Jak w bojach się zwycięża,
Jak z wiarą się umiera.

Posępne duchów straże!
W śmiertelnych walk godzinie
Niech temu was ukażę,
Co bez nadziei ginie.
Otrząście grobów pył,
Trumienne zrzućcie wieka,
Powstańcie w pełni sił —
Lud oto na was czeka!
Nim się sen ziemski prześni,
Nim przyjdzie chwila cudu,
Zaklinam was w tej pieśni
Zaklinam was dla ludu:
Otrząście grobów pleśń,
Powstańcie w dawnej sile,
Niech zbudzi was ma pieśń
Na jedną choćby chwilę!
O, wy mi przebaczycie,
Żem sen wasz przerwać śmiał,
Gdy w żywych gaśnie życie,
Lub rwie ich zmysłów szał.
Podszeptów oto zła
Znękany naród słucha —
Pobudka moja gra,
By podnieść jego ducha.
Jej echa z wiatrem biegą
Znanemi drogi w dal,
Od morza Bałtyckiego
Do Czarnych morza fal.

LEGENDA POLSKA.

. . . .

Czyż się przenigdy nam już nie ukaże
Królowa Kinga nad Pieńskim potokiem,
Na zamku swoim, w skalistej pieczarze,
Którą anieli okryli obłokiem,
Przyniósłszy z nieba, by przed Tatarami
W jej wnętrzu pewne znalazła schronienie
Święta patronka z obydwu siostrami,
Jak chce juhasów pobożne wierzenie?
I nie zwiastuje swojemu ludowi
Złotej wolności dla słowa i czynu
I nie powróci mu jej i nie powie:
„Zrzuć twoje więzy, bądź wolny, mój synu!"

Czyż nie zamilkną przenigdy trzy młoty
U Pięciu Stawów, kędy kują duchy
Koronę polską? Nigdyż blask jej złoty
Nie spłynie na nas, a nasze łańcuchy
Od jej słonecznych nie rozpękną grotów?
Przez lud Bóg mówi, a mówią podania
Tatrzańskich gazdów, że djadem już gotów...
Jednego tylko brak jeszcze wiązania,
Jednego tylko brak jeszcze kamienia:

Kamienia *zgody*. Czyż go nigdy oni
Pośród bratniego nie znajdą plemienia,
W sercach Anioła, Orła i Pogoni?

Czyż się przenigdy nie rozstąpią wody
Lennogórskiego pod Gnieznem jeziora,
Aby ujrzały słowiańskie narody
Tron Bolesława, co jakgdyby wczora
Z rąk mistrza wyszedł — przetrwał w niem już wieki?
Gdy ciemne fale swe złoci Lednica
Na całej wokrąg powierzchni dalekiej,
W promieniach słońca, czy blaskach księżyca —
Ludowi zda się, że sławny Ottona
Dar zaginiony daje znać o sobie,
Jakby przemawiał do niego z wód łona:
„Ja nie straciłem swej potęgi w grobie,
„Ale jak ongi silnie i wspaniale
„Będę panował słowiańskiej krainie!" —
Czyż na spokojne lennogórskie fale
Tron Bolesława nigdy nie wypłynie?

Czyż nie powstaną przenigdy do boju
Za świętą sprawę polegli rycerze
I nie porzucą życia snu, spokoju,
W starym Giewoncie?... Nigdyż ich pancerze,
Co były murem chrześćjan — nie osłonią
Własnej ojczyzny od straszliwych ciosów,
Tyrańską wroga zadawanych dłonią?
Nigdyż ich miecze, lśniące barwą wrzosów,
Bo hartowane przez tak długie wieki

W krwawych potrzebach — więzów jej nie przetną
Nawet w przyszłości, dziś jeszcze dalekiej,
Aby jak przeszłość stała się nam świetną?

Czyż nigdy srebrny dzwon, na kształt kielicha
Lilijowego zwieszony u wieży,
Co, poruszany co lat siedm przez mnicha,
Na chwilę budzi uśpionych rycerzy
I do stóp krzyża na modlitwę woła —
Oczekiwanej nie wydzwoni pieśni?
I nigdy pośród zaklętego koła
W starym Giewoncie sen ich się nie prześni
I wraz nie zabrzmi w słonecznej świątyni
Hymn starodawny do Bogarodzicy,
I Bóg nad Polską cudu nie uczyni,
Nie zdejmie kajdan z wielkiej niewolnicy?

Czyż się przenigdy nie spełni, co sławny
Z świętego życia kozak Wernyhora
Mówił o Polsce, że wróci do dawnej
Swojej potęgi, gdy księżyc z wieczora
W sen go pogrążał na cichej wysepce —
Jak wypełniły się już jego słowa,
Że hajdamakom mord szlachty podszepce
I z królem chytra zmówi się carowa,
I pójdzie nasza ojczyzna w niewolę;
A gdy nastanie wielkiej zimy pora,
To genjusz wojny podzieli jej dolę
I skończy życie jak on, Wernyhora —
Na cichej wyspie?... Nigdyż się nie stanie

Według proroctwa Marka karmelity,
Który, gdy błysło wolności zaranie
W on czas na kresach Rzeczypospolitej,
Mówił, że niby Fenix Orzeł Biały
Wstanie z popiołów do dawnej wolności,
Ale silniejszy mocą nowej chwały
W prastarem Gnieźnie na wieki zagości?
Jak Bóg już spełnił Marka przepowiednie,
Że z majestatu Polska na twarz padnie
Za nasze winy, a orły sąsiednie
Rzucą się na nią i rozszarpią zdradnie!

. . . .

Więc my z niewoli powstać już nie zdolni,
Aby jak niegdyś stać o własnych siłach,
I nigdy, nigdy, nie będziemy wolni
Na ziemi polskiej, chyba już w mogiłach?
Więc ojczystego nam się wyrzec godła
I tej nadziei, co pod Włoch błękity
Legjony polskie zwycięzko zawiodła
Na San Domingo i na Sierrów szczyty?
Więc bezowocnie krwią zbroczona Praga
Pożaru hydrze oddała swe chaty,
Daremną była czwartaków odwaga
I próżno grzmiały pod Stoczkiem armaty?
Pod Dębem, Wawrem i pod Iganiami
I pod Grochowem w wielkim krwawym boju?
I próżno tylu opłakanych łzami
Powstańców tylu legło w bitew znoju,

Tylu pod knutem w lochach cytadeli,
Tylu w Sybirze wyzionęło ducha,
Którzy już nigdy Polski nie ujrzeli,
O których doszła tylko wieść nas głucha?

O, nie! Nie! Chociaż wiek upłynął cały,
Jak naszą ziemię na troje rozdarto —
Bratnią miłością gorzeć nie przestały
Serca nad Niemnem, nad Wisłą i Wartą!
Chociaż zabrano nam przybytki Boże,
Których przed schizmą krwawemi ofiary
Broniło wierne Podlasie i Kroże —
Myśmy się ojców nie zaparli wiary!
Choć nas uczono po moskiewsku pilnie
Na gimnazjalnych ławkach już zamłodu,
Mówić po polsku zakazano w Wilnie —
Nie zginął język polskiego narodu!
Nie! Nie! Niewola trwać nie będzie wiecznie,
Błyśnie nam złotej wolności zaranie —
Czego miljony chcą, a chcą statecznie,
To się stać musi, to się wkońcu stanie!

NIE CZAS NAM.

Nie czas nam dzisiaj myśleć o żałobie,
Ni o strojeniu posępnych cmentarzy;
Boleść cierpienia trzeba stłumić w sobie —
Precz łzy niemęskie z naszych ócz i twarzy!
Kto na ojczyzny będzie płakał grobie,
Ten jej nie uczci, ale ją znieważy,
Albowiem żyje, snem tylko ujęta,
Lecz się przebudzi i zerwie swe pęta.

Nie czas nam dzisiaj dumać i o śpiewie,
Jedna pieśń nasza: modlitwa do Boga!
Trzeba płomienne naszych serc zarzewie
Pozornie zgasić przed oczyma wroga;
Niechaj o naszych dążeniach on nie wie,
Jaka prowadzi do wolności droga,
Co od przyrody nam samej wskazana,
Zowie się buntem w języku tyrana.

Nie czas nam jeszcze przejść z myśli do czynu:
Nadtośmy słabi, by nowe powstanie
Mogło nam przynieść chociaż liść wawrzynu;
Pierw trzeba inne wykonać zadanie:
Z uśpienia zbudzić zatruty duch gminu
I z nim się złączyć, a gdy to się stanie —

Wtedy Pan ześle wolności anioła,
Co nas do walki z jej wrogiem powoła.

Nie czas nam powstać, aż zespolim duchy!
Gdy jak mąż jeden staniem u wyłomu,
Same z ciał naszych opadną łańcuchy,
Wstrzymać tych więzów nie będzie już komu:
Na dźwięk ich tyran pozostanie głuchy,
Choć się rozlegnie na kształt niebios gromu —
Własny upadek sił, ciała i duszy
Jeszcze go bardziej, niż ów dźwięk, zagłuszy.

Nie czas nam dzisiaj i nie jutro jeszcze!
Ale niedługo z wielkiej ludów wieży,
W której cykają teraz sekund świerszcze,
Oczekiwana godzina uderzy!
A na jej hasło pierzchną ćmy złowieszcze
W ogniu tysiąca huczących moździerzy;
Wówczas i dla nas godzina wydzwoni:
Do broni, Polsko, do broni, do broni!

POLAK.

Nie ten Polakiem, kto w Polsce zrodzony,
Na polskiej żyje i umiera glebie;
I Niemców karmią słowiańskie zagony,
Tak im tu dobrze żyć na naszym chlebie —
Ale kto kocha nad życie te strony,
Kto zna ich dzieje lepiej niż sam siebie
I rad je widzi w rękach swoich braci,
A jeśli traci, to wraz z życiem traci.

Nie ten Polakiem, kto po polsku gada
Narówni z inną cudzoziemską mową,
Z czego powstała u nas niegdyś wada,
Że przed ojczystem szło francuskie słowo —
Ale kto pilnie ten nasz język bada,
Jak się rozwijał i pięknial stopniowo,
Kto się wczytuje w polskie piórą twory
I z nich rodzinnej mowy bierze wzory.

Nie ten Polakiem, kto choć polskiej wiary,
Katolickiego chrztu i namaszczenia,
Nie pomny ojców tolerancji starej,
Przeciwny świętej swobodzie sumienia —
Ale kto ceniąc Ślązaków ofiary
I wielkich zasług Ostrogskich imienia,

Wierzy że znowu wolny Orzeł Biały
Wróci do dawnej potęgi i chwały.

Nie ten Polakiem, co polskie nazwisko,
Podkowę w herbie, w rodzie ma hetmana;
Choćby z Piastami był spokrewnion blizko,
Nie godzien jeszcze tego dzisiaj miana —
Ale kto sam się wzniósł na stanowisko,
A dusza jego czysta, nie skalana,
I kto jak gwiazda blaskami własnemi
Na niebie ludów świeci ojców ziemi.

Nie ten Polakiem, co się zań uważa,
Prawdę nie słowem stwierdza się, lecz czynem,
Chociażby godłem jego była Starża,
A pradziad czoło okrywał wawrzynem —
Ale kto z młodu już w umysł swój wdraża,
Jak się okazać godnym Polski synem
I myśl tę spełnia — niechybnym to znakiem:
Ten naszym bratem, ten z ducha Polakiem!

1891 r.

Wierny że znowu wolny Orzeł Biały
Wróci do dawnej potęgi i chwały.

Nie ten Polakiem, co polskie nazwisko,
Podkreśla w herbie, w tytule na ostatnia;
Czyżby z Piastami był spokrewniony blisko,
Nie wyrośnie szczera tego dzisiaj gniazda —
Nie kto sam się wznosi na stanowisko,
A dusza jego czysta, nie kalana,
I kto nie gwiazdami orszakami otoczył,
Na miarę ludów świecił ojców sławą.

Nie ten Polakiem, co się tak uważa,
Pewnie nie słowem świadczy się, lecz czynem,
Człowiekiem godnym jego syna Kraka,
A przede czoło okrywał wawrzynem —
Już kto z młodu już w umysł swój wdraża,
Jak się oczekać godnych polski synom,
I myśl tę wpaja — niechybnym to śladem:
Ten mówię prawdą, ten z ducha Polakiem!

ŁASZCZYŃSKI

Z NIEWOLI DO WOLNOŚCI

(1900 — 1925)

POEZJE

Nie ożyją białe Galateje,
Lane z gipsu ręką Pigmaljona.

MARJAN GAWALEWICZ.

ARCYDZIEŁO.

Choć nie ożyją białe Galateje,
Odlane z gipsu ręką Pigmaljona,
Po co szyderstwem druzgotać nadzieję,
Że przyszłość cudu takiego dokona?
Czas niedościgłe marzenia rozwieje,
Nim jeszcze dusza ujrzy łódź Charona
I zawodami znękana, niestety,
Sama zapragnie pić ze źródeł Lety.

Czyż my dlatego nie mamy Fidjasza,
Którego sławą Hellada jaśnieje,
Bo tak uboga w marmur ziemia nasza,
Polskiego dłóta więc ubogie dzieje?
Oto rzeźbiarzy swoich naród sprasza,
Niby rycerstwo bitne na turnieje,
I powołanym z dłótem w szranki powie:
„Pragnę wznieść pomnik mojemu wieszczowi.".

Wybrano mistrza, zdało się, rozumnie,
Aż posąg w słońcu Italji błękitu,
Odlany z bronzu — stanął na kolumnie,
Z włoskiego także wykutej granitu.
Przez tydzień pomnik lud oglądał tłumnie,
Lecz sam poeta był celem zachwytu,

Poznano bowiem, nim doba minęła,
Że mistrz nie umiał stworzyć arcydzieła.

Bo mniejsza, jaki materjał wybrany,
Nie on stanowi sąd o arcydziele:
Mityczna Venus wyszła z morskiej piany;
Wspaniały ołtarz w Marjackim kościele
Przez Wita Stwosza z drzewa wykonany;
Człowieka stawiąc na czynów swych czele,
To arcydzieło największe na ziemi —
Pan Bóg uczynił z gliny dłońmi swemi.

Lecz dał mu cząstkę nieśmiertelnej duszy!
I tak ożyją białe Galateje,
Odlane z gipsu — ale przez genjuszy!
Niechaj oparcia punkt mają Pigmeje,
A z posad ziemię każdy z nich poruszy,
Odmieni wszechświat i losów koleje;
Byle miał Wiarę, ten miecz Archanioła —
Tysiąc gordyjskich węzłów rozciąć zdoła!

Kto bowiem, idąc śladem Pigmaljona,
O którym mówią nam mityczne dzieje,
Pragnie ożywiać marmurowe łona —
Może mieć zawsze niepłonną nadzieję,
Że przyszłość cudu takiego dokona;
Lecz gdy w rzeźbiarzu tylko iskra tleje —
Niech ją w sobie pierwej rozpłomienia,
Aby sam nie był, jak posąg z kamienia.

1899 r.

LUMEN DE COELO.

W XXV-lecie Pontyfikatu
Jego Świątobliwości
LEONA XIII PAPIEŻA

W pokorze przed widomą dziś Kościoła Głową
Chylą się czoła wiernych, a serca weselą,
Dwadzieścia pięć lat bowiem już Nawą Piotrową
Steruje, rozpraszając mrok, Lumen de Coelo.

I blizkiem się już zdało wielkie ludów święto
Wcielenia ideału na ziemi: wszech zgody —
Pokoju biały sztandar w Hadze rozwinięto,
Pod którym miały stanąć ludy i narody.

Lecz Kielnia, zamiast spajać jednością, jak wprzódy
Krwawi serca głoszących w ciszy Chwałę Pańską,
A Krzyżak, ukazując groźne widmo Buddy,
Znów uderza żelazną pięścią w pierś słowiańską.

I oto z idealnej swojej wysokości
Sztandar biały się chwieje i ku ziemi zniża,
Bo wzniesiony bez Wiary, Nadziei, Miłości,
Nie ma znaku zwycięztwa nad złem: wrogiem Krzyża.

I znowu jak z nadejściem piorunowej burzy,
Kiedy wichry szalone jeszcze chmury dzielą,
Na widnokręgu myśli chmurzy się i chmurzy,
Lecz ciemności rozprasza wciąż Lumen de Coelo.

Ćwierć wieku On steruje już Nawą Piotrową,
Więc składają Mu winny hołd ludy i państwa
I kornie przed widomą dziś Kościoła Głową
Upada głos daleki z Przedmurza Chrześćjaństwa.

Upada z płaczem wielkim pośród Watykanu,
Gdzie słuchają go z drżeniem święte mury stare,
Jak oto w swem nieszczęściu błogosławi Panu
Za trzy skarby: za Miłość, Nadzieję i Wiarę.

I gdy Ojca Świętego inni darzą złotem,
On cegłę ofiaruje z onego Przedmurza,
Co stoi wieki naszem sercem, krwią i potem,
Co stoi wciąż, choć nad niem wciąż szaleje burza.

A chociaż takich cegieł w Przedmurzu tem wiele—
Dla każdej Polska miejsce w ołtarzu wyprasza,
Więc Ty ją przyjmij, Ojcze, i umieść w kościele,
Bo każda taka cegła — to relikwja nasza!

1903 r.

Trzy strofy ostatnie wykreślone z „Naszych Kłosów" przez cenzurę rosyjską.

DO POSŁÓW POLSKICH W DUMIE ROSYJSKIEJ

Gdy zgasła trzecia już wolności gwiazda
Na polskiem niebie i trzecia z kolei
Jej bojowników unosząca jazda
Zginęła w śniegach sybirskiej zawiei,
Chociaż w ojczyźnie zrujnowane gniazda
Mówiły żywym: Tu niema nadziei! —
Oni goili wiarą swoje rany,
Aż ich wysłuchać raczył Pan nad Pany.

I tchnął miłością wielką Chrystusową
I przodownikom onych z krwi i ducha
Powiedział: „Nieście miłowania słowo
„Między swym ludem, a gdy was usłucha —
„Milczący w harfie zabrzmi dźwięk na nowo;
„Lecz przed skruszeniem nie szarpcie łańcucha,
„Krwi ani kropli! Czyńcie w grobów ciszy,
„Do czasu brata jeno brat niech słyszy.".

I oto poszli od dworu do chaty,
Jako od Boga słyszeli w natchnieniu,
Niosąc ludowi kaganiec oświaty,
Stokroć jaśniejszy w tajemnicy cieniu;
Bo nawet kiedy przyszedł dzień zapłaty
Dla największego z braci — stał w milczeniu

Miljon narodu przed wieszcza pomnikiem,
Ale ta cisza grzmiała serc okrzykiem.

I milczał naród, gdy nowej boleści
Była mu nowa przyczyną ofiara,
Choć się zdawało, że już nie pomieści
Jednego więcej bólu pełna czara —
Cierpiał w milczeniu przeszło lat czterdzieści!
Aż grzechom wieków dorównała kara
I ten, co wydać nie mógł skargi — powie
Wolę swą przez was, o, polscy posłowie!

Posłowie polscy! Narodu puklerzem
Was uczyniła mądrość, nie obawa;
Kraj, błogosławiąc pieśnią i pacierzem,
Śle was spokojnie w bój o swoje prawa,
Nie zbrojnych szablą, ani też koncerzem,
Albowiem walka czeka tam niekrwawa,
Chociaż trudniejsza dla tych, czyje wargi
Izajaszowe nie będą, lub Skargi.

Lecz się nie trwóżcie, jeśli was oniemi
Krzyk nienawiścią ziejący potwarczą;
Każdy niech duszę przyłoży do ziemi,
Która go własną uczyniła tarczą;
Gdy doń przemówi bólami swojemi —
Za Demostena one mu wystarczą.
Bądźcie ich echem! niech was ufność krzepi:
Przez posłów naród mówi sam najlepiej.

Ojczyzna, z której w poselstwie idziecie,
Najwyżej niosła wolności pochodnię,
Walczyła za nią wciąż po całym świecie,
Nie znając nigdy, co kainów zbrodnie;
W dworcu taurydzkim kiedy więc staniecie —
O wolność złotą walczcie jednozgodnie
Także dla innych, nie tylko dla siebie,
Pomnąc na przodków w wiedeńskiej potrzebie.

Ojczyzna, z której w poselstwie idziecie,
Najwyżej niosła braterstwa pochodnię,
Jednała sobie druhów w całym świecie,
Nie znając nigdy, co kainów zbrodnie;
W dworcu taurydzkim kiedy więc staniecie —
Żądajcie świętych praw człowieka zgodnie
I dawnym wrogom dłoń podajcie ninie,
Pomnąc na unję przesławną w Lublinie.

Kraj nasz, z którego w poselstwie idziecie,
Niósł ɩ ościnności najwyżej pochodnię,
Zasłynął z onej hen po całym świecie,
Boga imieniem witając przychodnie,
W dworcu taurydzkim kiedy więc staniecie —
Dla tych przychodniów praw żądajcie zgodnie,
Niech się tradycji Lech nie przeniewierza,
Pomnąc gościnność Wielkiego Kaźmierza.

Wybrani z łona lwiej narodu części,
Która z krwi jego krwią i duchem z ducha,

Kiedy o prawa siłą praw, nie pięści,
Będziecie walczyć — każdy z was niech słucha
Wciąż jego woli, a nim się poszczęści —
Niechaj każdego z was krzepi otucha,
Że głosu ludu słucha Tron nad Trony,
Więc się stać musi, czego chcą miljony!

1906 r.

Z TARCZĄ!

Przestrzenią czasu od Polski dalecy,
Ale tak blizcy dla nas myślą, Grecy —
Na bój od braci swych byli żegnani
Zaklęciem: „Z tarczą wracajcie, lub na niej!".

Trybunom ludu trudniej być szermierzem:
Prawo i krzywda za oręż im starczą,
Godność narodu będzie im puklerzem —
Zginąć nie mogą, muszą wrócić z tarczą!

1906 r.

POLSKA MACIERZ SZKOLNA.

Legły Warszawy, Krzemieńca uczelnie
I stołecznego grodu Mickiewicza,
Oświaty polskiej kamienie węgielne
Znikły jak słońca wizja tajemnicza;
U płonącego wiecznie, nieśmiertelnie,
Giną kapłanki mowy polskiej znicza
I tylko jedna klęską się nie wzrusza,
Choć wszystkie gromy w nią: to Polska Dusza!

I wyrzekł Bóg: „Niechaj się światłość stanie!".
I wyrzekł wróg: „Niechaj się ciemność szerzy!" —
Jak błysło ongi pierwsze dnia zaranie,
Tak zgasła dzisiaj pochodnia Macierzy.
I ogarnęły ciemności otchłanie
Miljony ludu, dziatwy i młodzieży,
Lecz już nie mroki podmogilnych łzawic,
Ale noc, jasna od myśli błyskawic.

Witaj nam, praco podziemna, wśród nocy,
Piorunnym gniewem narodu hucząca!
Dobrze nam znana już z potężnej mocy,
Bo najstraszliwiej kajdany krusząca!
Znów twej jasności wzywamy pomocy,
Znów bowiem w ciemność swoją wróg nas wtrąca,

Niepomny, ślepy na świtania gońce,
Co już zwiastują nam wolności słońce!

Przemocą znowu pogrążeni w ciemnię,
Jak w katakumbach wiarę Chrześcijanie,
Tak my oświatę szerzmy potajemnie!
Kto krzesać iskier w mrokach nie przestanie —
Ten się dla Polski nie strudzi daremnie,
Temu zabłyśnie wolności zaranie
I powie: „Panie!" — Najwyższemu w niebie:
„Z Polski już wolnej powracam do Ciebie!".

1906 r.

Wiersz, napisany na zamknięcie Polskiej Macierzy Szkolnej przez rząd rosyjski.

BRACIOM CZECHOM.

Pozdrowienie wam i cześć na przyszłości progu —
W ziemi polskiej zawsze gość najpierwszy po Bogu!
Krwią zbratani wy i my — dzieci jednej wiary,
I z naszemi wasze szły pod Grunwald sztandary;
Choć odmienił losy czas, duch braterstwa wraca
I dziś łączy z wami nas wielka, święta praca.

1909 r.

Adres, ofiarowany przez Związek Rzemieślników Chrześcijan w Królestwie Polskiem — przedstawicielom rzemiosł czeskich, pod przewodnictwem burmistrza Pragi d-ra Grosza, posła do parlamentu wiedeńskiego, przybyłym w 1909 r. do Warszawy.

ZA WIARĘ!

DO APOSTATY.

Zatrute pióro wziąłeś w dłoń,
Trująca twoja praca:
Zabójcza słowa twego broń
Przeciwko nam się zwraca.

I cóż ze stylu pięknych szat,
Z władania ojców mową,
Gdy w naszą duszę sączy jad
Zatrute twoje słowo?

Do słońca wiedzie naród w wyż
Chorągiew świętej wiary —
Ty strącasz z polskich świątyń krzyż,
Nasz sztandar na sztandary.

Chrystusa mękę dał nam Bóg
Za krew i za cierpienia —
Ty łamiesz straże polskich dróg,
Wiodących do zbawienia.

Za pierś chwytając zbożny lud,
Obrywasz z niej szkaplerze,
Choć przez nie czeka on na cud,
Z nich hart i siłę bierze.

Gdy oddajemy krew i łzy
I życie swe za wiarę —
Z naszymi pasterzami ty
Masz *porachunki* stare.

Choć tylu z nich za chrzest i ślub,
Za spowiedź i modlitwy —
Nie oglądało już po grób
Swej Polski, Rusi, Litwy.

Zatrute pióro wziąłeś w dłoń,
Trująca twoja praca:
Zabójcza słowa twego broń
Przeciwko nam się zwraca!

Kto pragnie naród w przyszłość wieść —
Iść z ludem musi społem
I dać na Jasnej Górze cześć,
Bić w Ostrej Bramie czołem.

I w dzień i w noc, jak Anioł Stróż,
Strzedz Berdyczowskiej Pani,
Choć *skrytobójca* wrazi nóż —
On pierś, nie duszę rani.

Kto pragnie naród w przyszłość wieść —
Iść z ludem musi społem
I w *Pratulinie* życie nieść
Za wiarę przed kościołem.

I siostry swe za prawdę dać,
Jak sławne z ofiar Kroże
I przy swym krzyżu wiernie stać,
Aż Pan Bóg dopomoże!

I chociaż przemoc sroga nam
Nie odda dziś *Opola* —
Stać wiernie u kościelnych bram,
Bo jutro Boża wola!

Kto pragnie naród w przyszłość wieść —
Iść z ludem musi razem
I w ojców wierze zmarłych grześć
Za świętym ich rozkazem.

I kopać w polu nocą grób,
By nie dać temu ciała,
Któremu, mimo krwawych prób,
Wziąć dusza się nie dała.

I potajemnie trumnę nieść,
A gdy strażnicy tłumnie
Jak kruki zlecą się na wieść —
Położyć się na trumnie.

I bronić jej przed onych złem,
Jak zwłok *Semeniukowej*
Broniły zbożnie ciałem swem
W Janowie białogłowy.

Kto pragnie naród w przyszłość wieść —
Iść z ludem musi razem
I dzieci swe choć z wody chrześć
Za ojców swych rozkazem.

I chleba kęs ostatni dać
Na bezlitosne kary,
A nie dać dziecka duszy brać,
Ni świętej jego wiary!

A gdy się tak zaweźmie los,
Że nic go już nie wzruszy,
To ciało dziecka dać na stos,
A nie dać jego duszy!

I spłonąć razem z dzieckiem swem,
Jak Koniuszewscy w stogu,
I zbawić duszę swą przed złem,
By oddać jeno Bogu!

Kto pragnie naród w przyszłość wieść —
Iść z ludem musi społem,
I sztandar jego wiary nieść
Przed świętym dlań kościołem.

I niezachwianie przy nim stać,
Nie bacząc na ofiarę,
I nawet życie swoje dać
Za świętą ojców Wiarę!

1910 r.

Ojciec Salezy, ostatni przeor klasztoru Karmelitów Bosych w Berdyczowie, został z rozkazu jenerał-gubernatora kijowskiego Bezaka skrytobójczo zamordowany w celi swej podczas summy, poczem dokonano gwałtownie kassaty zakonu i konfiskaty klasztoru.

ODEZWA
Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków.

„Polacy!” — Wasza Cesarska Wysokość dziś woła
Nas imieniem, wydartem z Europy księgi,
By z niewoli powrócić do żyjących koła,
Czy też bronić Wszechrosji zachwianej potęgi?

To świat był głuchy, nie zaś naród polski niemy!
Sto lat śpiewamy: „Jeszcze Polska nie zginęła!”,
W potrójnych więzach — przecież jesteśmy, żyjemy,
Ludzkości w pracy twórczej dając arcydzieła!

Mówisz: „Bije godzina, gdy się ziścić może
„Ojców waszych i dziadów najgłębsze marzenie:
„Żywego ciała Polski, w potrójnym zaborze
„Rozdartej, pod rosyjskiem berłem zjednoczenie.

„Możecie być znów wolni!...” — Żali gołębica
Tę wieść przynosi z pośród serafinów chóru?
Nie, Mości Książę! Stryj twój mojego rodzica
Nie za takie *marzenie* zesłał do Kunguru.

Polska znów niepodległa od gór aż do morza
Będzie jeno pod berłem własnej swej Królowej

Co zawsze w Ostrej Bramie świeci nam jak zorza,
Jak słońce jaśniejąca z tronu Częstochowy.

Chcesz od nas *pojednania*? Jak dla swych siepaczy
Chrystus miał zmiłowanie, tak za żywych mękę
Niech legjon grobów polskich w Sybirze przebaczy —
My do dawnych swych druhów wyciągamy rękę.

W przymierze Polska z żadnym nie wejdzie z zaborców,
Innego słucha głosu Polak od chłopięcia,
Łowiąc echo furkotu ułańskich proporców —
Czy znasz, Książę Rosyjski, głos Polskiego Księcia?

„*Podaj mi dłoń, Francuzie*!" Polak wołał z toni —
„*A będę ocalony*!" — Szumi Elstry woda...
Dzisiaj Francja znów walczy, praw ludzkości broni
I usłyszy głos Polski i rękę jej poda!

24 sierpnia 1914 r.

„Rien que votre main, Français, et je suis sauvé!" — ostatnie słowa księcia Józefa Poniatowskiego.

JESIEŃ POLSKA

Gdzie król na swym bachmacie
Tratuje pogan kark —
W królewskim majestacie
Królewski stanął park.

Korony drzew w purpurze
I ziemia jak we krwi,
A słońce złote w górze
Jak złoty djadem lśni.

I poprzez chłód jesieni
Ostatni nieci żar,
I złoci i czerwieni
Jesiennych wieka mar.

I w złocie i w purpurze
Słoneczny spływa blask,
I słychać jeno w górze
Gałęzi suchych trzask.

I cicho, uroczyście,
I tylko do mych stóp
Powiędłe, suche liście
Ze szczytów lecą w grób.

I tylko poprzez ciszę
Z dalekich płynąc stron,
Zwiastują szepty mnisze:
„Przybliża się już zgon!”.

Lecz niema wkrąg nikogo
I tylko straż u bram —
Samotną parku drogą
Powoli idę sam.

A w myśli mych pożarze
Nadzieja koi ból,
Że może się ukaże
W królewskim parku król?

Z buławą i na przedzie,
Prowadząc hufiec swój,
Jak ongi znów powiedzie
Rycerzy w krwawy bój.

Od sioła, hen, do sioła,
Przez pole, wodę, las —
Głos ludu zewsząd woła:
„Od Niemca brońta nas!”.

Na ucztę śmierci krwawą
Za krukiem leci kruk...
Pod samą już Warszawą
Na wroga idzie wróg!

Wstrzymując oddech łona,
Wytężam wzrok i słuch:
Walecznych pół miljona
W bój wiedzie Hetman-Duch!

I lecą z dział kartacze
I lecą liście z drzew,
Grzmi ziemia, niebo płacze
I płynie, płynie krew...

Poległych braci kości
To siew dla przyszłych żniw
I zbierze plon wolności
Kto będzie jeno żyw!

Przez łez olbrzymie morze,
Przez braci mo ch krew
Kazałeś iść, o, Boże,
Na wielki szczęścia siew!

I szedłbym w blaskach słońca
Tak wiecznie przed Twój tron...
Lecz niema dróg bez końca:
Przecina każdą zgon!

1914 r.

LEGJONISTA.

Pamięci Kazimierza Karskiego.

Na miły Bóg! na miły Bóg!
Gdy z wrogiem Polski Lechji wróg
W śmiertelnej ludów wojnie,
Śród naszych lasów pól i dróg —
Powstańca syn, powstańca wnuk,
Pod gradem kul spokojnie,
Jak chłop, którego mieczem pług,
Zdeptany łan czyż orać mógł,
Lub bawić się piosenką —
Dziś ten, którego mężny dziad
Za ich i naszą wolność padł
Pod Ostrołęką?

Za broń! za broń!
Ktokolwiek w dłoń,
Choć nawet wróg ją poda —
Na wroga bierz
I śpiesz, o, śpiesz,
Za wolność krwi nie szkoda!

Na koń! na koń!
I pędź przez błoń,
Nie wahaj się, na Boga!

Gdy wojny czas,
Choć z wrogiem wraz —
Na wroga!

Jakby się zbliżał Chrystus Pan:
Hosanna! — szumi zboża łan,
Gdy błyszcząc w słońcu, dzwoni sierp,
Choć zżęty pada złoty kłos.
Hosanna! — śpiewaj, Polsko, w głos,
Potrójnie cierpiąc, szczęsna cierp —
Do męki swojej końca,
Do dnia wolności słońca!
Żyj wiarą, nie nadzieją,
Choć śmierci idą cienie —
Jak chmury się rozwieją,
Przynosząc ci Zbawienie!

Ojczyzno! na swobody siew
Znów płynie synów twoich krew...
Niech ci nie bledną lice,
Choć wolej szubienice,
Niż kiedy Polak życie
Odbiera dziś Lechicie!
Serb ginie z rąk Chorwata,
Znów brat zabija brata —
Jak na początku świata!
Karlińskim bądź w swym darze
Za wolność, gdy Pan każe,
O, Polsko, przy sztandarze!

Na miły Bóg! na miły Bóg!
Gdy z wrogiem Polski Lechji wróg
W śmiertelnej ludów wojnie,
I sam wystąpił zbrojnie
Powstańca syn, powstańca wnuk,
Choć oręż wziął od kogo mógł —
Dla jakich walczył bogów,
Nie pytaj, kiedy w boju padł,
Miast bawić się piosenką;
On bił się z jednym z wrogów,
Jak jego ojciec, jego dziad —
Pod Ostrołęką!

. . . .

Pod Białym Orłem idąc w bój,
Kto znalazł mężny zgon —
O tym ojczyzna powie: On
Obrońca wierny mój!
Uczciłaś już, Warszawo,
Daninę Polski krwawą:
Twój wierny wnuk i syn,
Spełniając święty czyn,
Gdy legł na polu chwały
Pod Wojciechowicami —
Osłonił go skrzydłami
Sam Orzeł Biały!

Dziś — czy na sąd otwarty grób,
Dąbrowski wstał z mogiły,
Legjony powróciły?

Legjony z Francją wiąże ślub!
I pod niemieckich gradem kul,
Orzących perłę ziem, Szampanję,
Z Szujskiego krwi śród Francji pól
Już jutro armja polska stanie.
Karskiego dzisiaj krew i broń,
Z rąk Niemca wzięta w polską dłoń,
Niech świadczą światu, co wie Bóg:
I Moskal — wróg i Niemiec — wróg!

23 lutego 1916 r.

Za broń! za broń! — muzyka Adama Elertowicza.

PRZEKLĘTA ! BŁOGOSŁAWIONA !

Z ojczystych gniazd do słońca lecą wciąż orlęta,
Nie bacząc, że je strzała z wyż na ziemię strąca;
Co krok — armata, ogniem śmiertelnym ziejąca,
W bój przecież do wolności biegną pacholęta.

Wojno, z ludzkiej chciwości i pychy poczęta,
Wampirze, krew pijący z ludzkich ran tysiąca,
Hyeno, tysiącami ludzkich ciał żyjąca —
Przed swem poczęciem tysiąc razy bądź przeklęta!

Lecz dziś nie boli rana odwiecznie krwawiąca,
Polska śle swoich synów na śmierć uśmiechnięta,
Kryształu wiary jej — zwątpienia cień nie zmąca.

Tam się we krwi Polaków kruszą Polski pęta!
I oto bije w niebo modlitwa gorąca:
Błogosławiona bądź, o wojno — wojno święta!

1916 r.

DROGA WOLNOŚCI.

Śród grochowskich pól,
Od bomb i od kul
Za wolność poległych mogiła —
Przez dziesiątki lat,
O pamiątki kwiat,
O kurhan i krzyż swój prosiła.

O niewiele staj,
Depcąc wolnych kraj,
Obelisk przystanął spiżowy,
By wysławiać zgon
Tych, co z obcych stron
Do Polski przynieśli okowy.

Rychlej wróg, niż czas,
Kładł milczenia głaz
Na walkach dla świętej wolności,
Ścierał krwawy ślad,
By zapomniał świat,
Gdzie legły obrońców jej kości.

Mężnych synów krew
Dała Polsce siew
Wytrwania dla ciała i ducha,

Co w niewoli noc,
Kuje czynów moc,
A w słońcu swobody wybucha.

Znikł północy cień,
Wszedł wolności dzień,
Niepróżno poległych mogiła —
Przez dziesiątki lat,
O pamiątki kwiat,
O kurhan i krzyż swój prosiła,

Przyszedł lud na grób,
Klą̨kł u krzyża stóp,
Co wznosi ramiona do Boga;
Gdzie Grochowa szlak,
Męki Pańskiej znak
Wskazuje: Wolności tu droga!

1916 r.

NA GROCHOWSKIEM POLU.

Za rodaków, poległych na grochowskiem polu,
Polakowi Rosjanin zabronił modlitwy,
Za swoich się nie modlił — zcichły echa bitwy
I groby zaginęły w piasku i kąkolu.

Po latach, pragnąc uczcić obrońców wolności,
Rozkopano mogiły i szukano znaków:
Guziki z białym orłem wskazały Polaków,
Z dwugłowym — gdzie złożono najezdników kości.

Ja na piasku Grochowa ujrzałem zdaleka
Kościec z czaszką, bez szabli, ostrogi, ni czaka,
Więc nie wiem: Rosjanina-li, czy też Polaka?
Po latach można poznać jedynie człowieka!

1916 r.

CENZURA.

Dozwoleno cenzuroju.
Geprüft und freigegeben.

Strach co wyrabia *cenzura rosyjska*!
Popowicz z Tweru, mużyk z Usuryjska —
Uczą Polaka: co drukować może,
Czego nie wolno! I Polak wytrzyma?
Znów hajdamackie wykrajały noże
Dwa z „Sobieskiego" wiersze! Deotyma
Wyrządzić krzywdy jednej nie da komie,
A tutaj dwuwiersz cały, w klamrę strojny:
„*Hussarzu polski*! *Pół-orle, pół-gromie*,
„*Ty byłeś poezją wojny*!".

Zrywam się, biegnę, wściekły jak wichura,
Pędzę dorożką: „Miodowa! Cenzura!"...
— „Dzień dobry *radcy*!" — „Witaj, redaktorze,
„Jak zdrowie?" — „Szlag mnie trafił!"
— „Być nie może!".
— „Królowi memu, co Wiedeń wybawił
„Od Turków, *pomnik cesarz* twój wystawił,
„A tyś mu uciął..." — „Puściłem rzecz całą,
„Tylko dwa wiersze..." — „Dwa! Jeszcze ci mało?

„Wiesz przecież: *krew się* w Deotymie *pieni*,
„*Na myśl, że ktoś* jej *komę jedną zmieni*!
„Nakład w połowie już wydrukowany:
„Osiem tysięcy — *baron* zrujnowany!
„Radco, w cenzurze smutnej szukasz chwały!”.
— „Ja?” — „Ty!” — „Ulituj się nademną, Boże!
„Cóż mam uczynić?” — „Podpisać wiersz cały”.
— „To niemożliwe” — „Czemu?” — „Redaktorze!
„Sam prezes czytał, wiersz cenzurowany
„Na sesji — byłbym skompromitowany,
„Zlituj się i wejdź w moje położenie!”.
— „Więc troje ludzi weź na swe sumienie!”.
— „Co zrobić?... Ilu prenumeratorów
„Macie na poczcie?” — „Czternaście tysięcy.”.
— „W Warszawie?” — „Dwa coś tysiące, nie więcej.”.
— „Aby więc w oko którego z cenzorów
„Nie wpadły dwa te wiersze gdzie w cukierni,
„Gdy ślecie na wieś nakład cały prawie,
„Niech będą wszędzie, tylko nie w Warszawie!”.
— „Zrobione.”... Po tem, com spisał najwierniej,
Prosił na obiad redaktor cenzora,
A na kolację cenzor redaktora.

. . . .

— „*Cenzor niemiecki* wykreślił ze sztuki
„Scenę z Węglikiem, Smółką i tam dalej...”.
— „Bajesz mi waćpan jakieś banialuki,
„Tę scenę grano przecież za Moskali!”.
— „Jednak wykreślił, patrz sam, dyrektorze,
„Najlepszą scenę!” — „Cóż u paralusza,

„Oszalał Niemiec? Nie, to być nie może,
„Moskal pozwolił!... Jadę do ratusza!".

Cenzor niemiecki spoglądał ponuro.
— „Panie nadradco!..." — „Witam, witam pana!".
— „Oto egzemplarz z rosyjską cenzurą,
„Ta scena zawsze była u nas grana..."
Mówię do Niemca jak mogę najsłodziej
„Zapewne zaszło nieporozumienie,
„Iż pan nadradca..." — „Nie, całkiem inaczej:
„Cenzor rosyjski nic mnie nie obchodzi
„I póki *ja* tu będę — *pan na scenie*
„Tej swojej *sceny* nigdy nie zobaczy!
„Skończyłem!" krzyknął *Krzyżak*, brwi najeżył
I z całej siły *pięścią w stół uderzył.*

*

Autorze polski! W rosyjskiej cenzurze
Tyś pan — niewolnik w niemieckiej kulturze!

1916 r.

Aleksander Kurłow. — Mikołaj I. — Pomnik Sobieskiego u Kapucynów w Warszawie. — Z „Cyrana de Bergerac" Rostanda.— Augustyn baron Ostoróg Kąsinowski, wydawca „Naszych Kłosów".

JEST ŚLĄZKO — JEST POLSKA.

UNIWERSAŁ.

Polacy!
Z Bożej łaski i Nieba wyroków,
Z objawienia proroków
Rzeczypospolitej:
Wernyhory i ojca Marka karmelity;
Z Pułaskiego i księcia Józefa ofiary;
Z Kościuszki, Dąbrowskiego wojennego trudu;
Z mazurka Wybickiego, hymnu Felińskiego;
Z męki Łukasińskiego, śpiewów Niemcewicza;
Z Wysockiego „Śmierć tyranowi! śmierć!" wezwania;
Ze zgonu Sowińskiego, z dział pod Stoczkiem grania;
Z natchnienia Mickiewicza, widzeń Krasińskiego —
Pielgrzymstwa lechickiego wieszczów i narodu;
Z polonezów Chopina i pieśni Moniuszki;
Z bluźnierstwa Konarskiego i kaźni Traugutta;
Z dzieł Matejki, z olbrzymiej Kraszewskiego pracy;
Z przeszłości nam wskrzeszonej piórem Sienkiewicza;
Z myśli, zaklętej w śpiżu Wiwulskiego dłóta;
Z „Marsz za wrodziem!" Kaszubów.
[z Konopnickiej „Roty";
Z wiary w Polskę, z miłości dla ojczyzny znicza,
Z krwi poległych za wolność, z ludu
Łez i głodu;
Z nieśmiertelnego ducha
Miljonów i woli —

Sprawiedliwości gwoli,
Która zgody słucha,
Wiecznemu służąc pięknu — milczący przez lata,
Zagrał znowu potężny dźwięk w harfie wszechświata!
Uderzył wojny gromem
W żelazo łańcucha
I oto zachwiał domem
Wiekowej niewoli!
Błysnął oczekiwany dzień trzeci, dzień złoty —
Godzina bije nowa
Na dziejów zegarze —
Sam Bóg ją nam wydzwania!
W prochu trzej mocarze!
I leci do Poznania,
Warszawy, Krakowa,
Lwowa i Wilna —
Leci wieść cudna, niemylna —
Do Białych Orłów gniazd,
Do polskich siół i miast,
Na pola i ugory, łąki i kurhany,
Przez góry, rzeki, morza i przez oceany
Do żywych i umarłych, etapem wygnańców,
Legjonów szlakiem leci aż do ziemi krańców,
Leci na San Domingo,
Leci do Tobolska —
Wieść, dzwoniąca kilofem polskim, polską klingą:
Polacy!
Cud wam dany!
Jest Ślązko — jest Polska!

1922 r.

ZAPŁACI FRANCJI BÓG.

Marszałkowi Foch'owi.

Zwycięski Bonaparte
Warszawskie dał nam Księztwo —
O ileż więcej warte,
O, Foch'u, twe zwycięztwo!

Za krew Poniatowskiego
Spłacony święty dług —
Za Polskę z czynu twego
Zapłaci Francji Bóg!

Od Karpat do Bałtyku
Grzmi, Foch'u, twoja chwała —
We wdzięcznych serc okrzyku:
Jest Ślązk, jest Polska cała!

Za krew Poniatowskiego
Spłacony święty dług —
Za Polskę z czynu twego
Zapłaci Francji Bóg!

1923 r.

POSĄG SŁOŃCA

I.

Krytyk-artysta, który sercem słucha
Nowych objawów natchnionego ducha,
Jest dla nich jako ów promień miesiąca
Dla mgły wieczornej, gdy w mrokach płynąca
Nad moczarami w dal — niespodziewanie
Cała srebrzysta w blaskach jego stanie.

Krytyk-artysta, gdy mu celem sztuka,
Nie plam, lecz słońca nieustannie szuka
I tęskniąc za niem tęsknotą księżyca,
W nowym utworze bada niestrudzenie:
Czy dzieło sztuki wydało natchnienie
I czy je czysta zrodziła krynica?

Krytyk-artysta... Krytyk dla krytyki
Całkiem odmienne pragnie mieć wyniki
I ostrze pióra ostrząc przedewszystkiem,
Obnaża posąg osłoniony listkiem
I na rzeźbiarza ciska anathema,
Choć wie, że szuka tego, czego niema.

Kiedy więc Narcyz, zakochany w sobie,
Kwili: co lubi i co mu się zdaje,
Że *gdzieś* są *jakieś dale* i *wyraje*,
Lecz ich nie ujrzy, bo już spoczął w grobie —
Zoil się jeszcze zapytaniem trudzi:
Jaki jest jego stosunek do ludzi?

Gdy zaś Orlando, wielbiąc swą boginię,
Opiewa z jakich cnót i wdzięków słynie,
Jak cicho cierpi biedna szara rzesza,
Lub starodawnych bohaterów wskrzesza —
Krytyk narzeka, że ich pióropusze
Zanadto kryją przed nim jego duszę.

I chociaż nawet genjusz ma momenty,
W których należy dać mu spokój święty —
Pan krytyk bada: co myślał Herr Goethe,
Kiedy jadł obiad, lub czy była szara
Myśl Mickiewicza od dymu *cygara* —
Zamiast w poezji odgadnąć poetę.

Górą ku słońcu muszą wiać sztandary
Męskiej nadziei i zwycięskiej wiary,
Widne rycerstwu, co za niemi dąży —
Biada mu, jeśli zniży je chorąży:
W ciemnościach nocy czyha nań bezdroże,
Bez gwiazd przewodnich w przyszłość iść nie może.

Takim chorążym, co nigdy nie zniża
Złotych sztandarów, gwiazdą wiecznie jasną
Na niebie onych, co nigdy nie gasną —
Nawet i wówczas była *Wieszczka Krzyża*,
Kiedy w niesione przez siebie sztandary
Sama nie miała nadziei, ni wiary.

Ale to dobre *in illo tempore*,
Gdy duch był zdrowy... — Teraz nerwy chore
I niech wystąpi dziś *antiquo modo*

Narcyz czy Roland z sonetem czy odą —
Zoil z rozdartą staje nad nim szatą,
Twierdząc, że formę ma *szlafrokowatą*.

Gdy twórca nowy zaś w nowym utworze
Dawną średniówkę opuści, broń Boże,
Lub dominantę po za nią wspaniale
Niby dyskobol dzielnie dysk przerzuca —
Krytyk rozdziera nad nim wątłe płuca,
Twierdząc, że formy nie posiada wcale.

Że taki *rzut* — licentia poetica
Tylko gdy wielki *wieszcz*, ale motyka
Na słońce w ręku nie Juljusza — słowem:
Godzi się krytyk z prawem wyjątkowem,
Darząc genjusza względnością łaskawą,
Choć to — *rządzące wierszem polskim prawo.*

Nie brak nam nigdy stanowiących prawa,
Ni ferujących drakońskie wyroki,
Lecz nieraz talent i umysł głęboki
Przeciwko prawdzie i sumieniu stawa;
Przykładem: *łabędź pod pachą* poety
I uwieńczenie wawrzynem tandety.

Ta niesumienność przeszła już w manierę,
Dał tedy Czesław nam wyznanie szczere,
Godne zaiste przejścia do historji,
Że z Zagórskiego sobie kpi teorji
I z kontrapunktów, boć nie sposób przecie
Kazać przestrzegać *jakichś* praw poecie.

Tak ocenili kochani rodacy
Owoc piętnastu lat sumiennej pracy
Człowieka, który, drogę życia krwawą
Kończąc w szpitalu, łudził się przy zgonie:
„Może zapomną o mym *Salomonie*,
„Lecz uszanują chyba moje *Prawo*!”.

Wierzył, że siostrą muzyki — poezja,
Nie przeczuwając, że to dziś herezja!
Bo muzyk, nawet tonów arcyksiążę,
Jeśli dysonans da, to go rozwiąże,
Choć kwiat melodji warzy zgrzytów zima —
Jeszcze się taktu, rytmu, tempa trzyma.

Jeszcze o jakichś kanonach pamięta
I chociaż genjusz ma natchnienie Boże —
Bez kontrapunktu tworzyć dzieł nie może.
Poetę prawa więziły jak pęta,
Uczuł się nad nie wyższym nieskończenie
I oto przyszło od nich *wyzwolenie*.

Nie tylko od nich: wraz na djabłów trzysta
Posłał genjalny formy anarchista
Wszystko, co w onej przez mistrzów zaklęte, —
Było nam drogie i wielkie i święte;
„Kochacie przeszłość, więc ją wam pokażę!”
Rzekł do narodu i dał mu *witraże*.

I prorokował na polu przeszłości...
A gdy się suche poruszyły kości
I znowu jedna do drugiej przystała —

Złotą koronę, co tam była blizko,
Włożył na czaszkę na urągowisko —
Lecz nie dał kościom, jak Ezechjel, ciała!

Lecz nie dał kościom, jak Ezechjel, ducha!
A zasię widząc, że lud jeszcze słucha
Dawnych przykazań i że mają młodzi
Cześć dla przeszłości i że nie zachodzi
Ta, co na wieki wstała, zorza złota —
Wziął Posąg Słońca i cisnął za wrota.

1902 r.

. . . .

II.

Wiele lat przeszło, wiele się zmieniło:
Z moskiewskiej wyszliśmy niewoli domu,
Znów prawo polskie przed niemiecką siłą
I nie jesteśmy podlegli nikomu
I oddychamy znowu pełnią morza,
A ponad nami jeno wszechmoc Boża!

Uwolnił z więzów Bóg ojczyzny ciało;
Lecz ile w naszych duszach win zostało,
Ile się bujniej kąkolem rozrosło,
Ile nowego rozpleniło chwastu?
Łódź płynie kołem, bo steruje wiosło;
Pozazdrościła wieś anarchji miastu.

Anarchja w sztuce, anarchja w stodole!
Pozamieniano samowolnie role,
Nic z doświadczenia bezcennych zdobyczy,
Za nic dorobek dziś przeszłości wszystek ;
Z prawem odwiecznem bezwstyd się nie liczy,
Zawadza nawet mu figowy listek.

Zawadza wiedza i myśl i sumienie!
Dawniej amator był tylko na scenie,
Ale z domowych nie wychodził kółek;
Dziś niemal każdy obsiada przyczółek,
Dając bolesne światu *widowisko*,
Któremu trudno, trudno *dać nazwisko*.

Kto jeno umie pióro trzymać w dłoni —
Pisze i pisze... Nie jest to występek,
Że jak bonz widzi własny tylko pępek;
Mniejsza o mistrzów formy przedrzeźnianie,
W którem tworzące tak celują panie —
Źle, gdy piszący wciąż od sensu stroni.

Wprawdzie to w Polsce jest rzecz pospolita,
Elukubracji tych też nikt nie czyta;
Ale żyjemy w wynalazków czasie
I taki autor swoje twory lube
W świat przez aktora puszcza i przez tubę
I społeczeństwu gwałtem w uszy pcha się.

Cóż mają robić nieszczęśni aktorzy?
Wiedzą, że to jest *qui pro quo* autora
I już blizkiego znajdzie on wieczora

Miejsce właściwe w Qui Pro Quo. Lecz gorzej,
Gdy ktoś nie czytał, a poddał ocenie
Rzecz, niszcząc czynu fundament — sumienie!

Ale najgorzej, gdy prawdziwi mistrze
Zawsze niosący promienie najczystsze,
By nie nazwano ich starymi — bramy
Sztuki kuglarzom otwierają sami,
Powojennemi zatruci gazami,
Zgłuszeni wrzaskiem jarmarcznej reklamy.

Wojna, choć wiele zniszczyła — niestety,
Blagi   tandety
I tromtadracji   nie dotknęła,
Te są jak były i płodzą swe dzieła
Z eksperymentów, które biorą kaci,
Lecz Polska za nie płaci, płaci, płaci...

Inaczej śniła się w niewoli Polska
Synom powstańców, wróconych z Tobolska;
Przed nimi świata Bóg rozłożył księgę,
Poznali wielkość jego i potęgę
I nauczyli nas: „Sprawi Moc Boża,
„Iż będzie Polska od gór aż do morza!".

Inna się Polska w snach ukazywała
Synom tych, co nie poszli na Moskali;
Dla ojców obca była Polski chwała,
Synowie z wrogiem wroga jej zwalczali;
Bóg wywiódł Polskę nie według ich planu
Z domu niewoli, więc bluźnili Panu.

Żadna się Polska nie śniła jedynie
Synom tych, co rajfurząc polskiej szlachcie,
Podorabiali się dworów na pachcie;
Lecz ich synowie nie tracą na minie:
Prawdą uczynił Bóg polską legendę,
Więc całą Polskę pragną wziąć w arendę.

I tym nie Polska śniła się, lecz Babel,
Którym był Orzeł Biały nie pokoju
I nie braterstwa godłem, lecz *rozboju*;
Kiedy trój więzy rozciął miljon szabel —

Dobry gracz zawsze gra w tempie *allegra*,
Płaci i wstaje od stołu, gdy przegra;
Gracz zły gra dalej i gdy całkiem zgrany,
Strasznie się gniewa, a jeśli ma pięście
I tupet — to już prawdziwe nieszczęście,
Albowiem żąda dla siebie wygranej.

Do tromtadracji, tandety i blagi
Przybył nam tupet kutych żab odwagi,
Bajecznych karjer... Bieda z tym tupetem:
Lada *pałubę* nazywa pomnikiem
I na święcenie świat zaprasza z krzykiem,
A lada hotel mieni *Rambouillet'em*.

A przedwojenni genjusze? Ponury
Wzrok ich, tonący dawniej w czarnej kawie
Wołał: „Nie mogę pisać dla cenzury!".

Dziś, o wojennej swej dumając sławie,
Znów piją *czarną*... Cenzura zniknęła,
Jest wolność, Polska — gdzież są arcydzieła ?

Są arcydzieła! Te, co wskazywały
Nam przeszłość w blaskach potęgi i chwały,
Nie zaś kruszące się w proch mogił kości,
I przez niewolę wiodły do wolności
W przyszłość tak jasną, jak jasny bez końca
W sercu Narodu będzie Posąg Słońca!

1925 r.

Portret Mickiewicza z *cygarem* w ręku, malowany przez Piątkowskiego według daguerotypu. — Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), nazwana przez Mickiewicza *Wieszczką Krzyża*, w największej rozpaczy straciwszy wiarę — kryła się z tem, jako z największem nieszczęściem, dopóki jej nie odzyskała. „*Król Salomon*" poemat Włodzimierza Zagórskiego, tłomaczony na języki rosyjski, niemiecki i szwedzki. — „Teorja rytmicznych dominant czyli *prawo rządzące wierszem polskim*" Zagórskiego. — Na odsłonięcie *pałuby* — modelu posągu Mickiewicza przyjechał do Wilna przedstawiciel jednego z państw zagranicznych.

ŁASZCZYŃSKI

WIERSZE RÓŻNE

POEZJE

OLESIA.

SCHERZO.

—Czy jest pani?—Nie, niema, lecz pojąć nie mogę,
Że pan nie spotkał pani, bo wyszła przed chwilką.—
Chcę odejść—ty się śmiejesz, zastępujesz drogę:
—Nie, jest, jest pani!—wołasz—Żartowałam tylko!—

Udaję, że się gniewam — załamujesz ręce:
—Niechaj mi pan przebaczy, ten raz, ten jedyny!—
Zostaję, i znów śmiechem wybuchasz w podzięce...
Jak żyję, figlarniejszej nie znałem dziewczyny.

—Więc jest? — Jest! — odpowiadasz i biegniesz do
[pani...
Nie zdążyłem na sobie poprawić ubrania —
Już wracasz z oznajmieniem, żem jest miłym dla niej
Dziś gościem i że prosi mnie do „kartogrania”.

—Czy jest pani?—Nie, niema: wyszła przed godziną,
Lecz wróci niezadługo i prosić kazała,
Ażeby pan zaczekał... — Z wesołą dziewczyną,
Myślę sobie, przeleci mi ten czas, jak strzała!

—Mógłbym tymczasem — mówię — zajść po Petit-
[Journal'e
Do francuskiej księgarni, lecz mroźno na dworze,
Więc zostanę, Olesiu! — Właśnie w piecu palę —
Odpowiadasz z uśmiechem — to mi pan pomoże!

— I owszem, przy robocie prędzej się rozgrzeję! —
Lecz ty mi nie pomagać — służyć każesz sobie!
A ja z żalem wspominam rzymskich czasów dzieje
Z ich świętem niewolników i co każesz... robię.

Świecąc ci, z lampą w dłoni stałem z pół godziny,
Wołasz tedy z zachwytem: — Ach, jaki pan grzeczny!
— O, nie jestem ja takim dla każdej dziewczyny!
— Być może, lecz dla żadnej pan nie niebezpieczny!

— Zkąd tak dobre mniemanie? Nuż pozór cię mami?
— O, nie! Poznałam pana, więc się go nie boję,
Choć, jak oto w tej chwili, jesteśmy tu sami,
Chociaż w całem mieszkaniu jest nas tylko dwoje.

— Nie boisz się, choć więcej niema tu nikogo?
A jednak chciałaś, pomnę, krzyczeć w niebogłosy,
Widząc mnie po raz pierwszy — taką zdjął cię trwogą
Mój czarny strój Seglasa, moje długie włosy! —

W domu, gdzie często bywam, bo co wieczór prawie,
Zawsze pierwsza mnie witasz, i tylko czasami
Pani domu uprzedzi cię sama w obawie,
Aby nie dać gościowi stać długo za drzwiami.

Przybiegasz, usłyszawszy, że ktoś do was dzwoni,
A widząc, że zapóźno, cofasz się nierada:
Pania i takbym ujrzał, bo przyszedłem do niej,
Gdy, niestety, dziś nasza rozmowa przepada!

1898 r.

Do

WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO.

W podzięce za wiersz
„Do młodego poety“.

Poeto nasz! Weź lirę w dłoń,
Choć smutek cię owionie;
Gdy smętna twarz — ty piosnkę dzwoń,
Graj sercem w pieśni dzwonie.

Jak szumi gaj, jak pachną bzy,
Jak słowik łka w gaiku —
Na lirze graj nam swojej ty,
Sędziwy nasz Chochliku.

I chociaż w niej oniemił czas
Weselsze już klawisze —
Przez łzy się śmiej, gdy uśmiech zgasł,
Niech jeno głos twój słyszę.

Niepomny strat śród szczęścia dni,
Nie pytaj: Gdzie są one?
Młodzieńczych lat nie zazdrość mi —
Piękniejsze twe minione.

Bo czasu bieg, unosząc je,
Odmienił nieskończenie;
Twój złoty wiek dziś jakby w mgle —
Zostało ci wspomnienie.

Szczęśliwszyś ty i dola twa,
Choć życie teraz skromne...
Gdzie moje sny? — nie spytam ja,
Rad będę, gdy zapomnę!

1901 r.

CISZA KOŚCIELNA.

W kościele wielka cisza, jakby pustka głucha
Zaległa całe wnętrze. Twarz Chrystusa blada
Zwraca się miłosiernie, gdzie wiernych gromada
Wyznaje cicho grzechy, których kapłan słucha.

Na dworze wiatr jesienny nieustannie dmucha
I bijąc deszczem w szyby, woła: Grzesznym biada!
Biada grzesznym! — jak echo groźnie odpowiada
Nieczystych sił poświstem wietrzna zawierucha.

W kościele jednak cisza: kogo szczera skrucha
Przywiodła bowiem tutaj, ten w skupieniu ducha
U stóp konfesjonału swe sumienie bada;

A kiedy w jego serce wstąpi znów otucha —
Przed odejściem, w milczeniu Niebu dzięki składa...
W kościele wielka cisza, gdy kapłan spowiada.

Wierzbno pod Węgrowem, 1901 r.

MAUZOLEUM MUZUŁMAŃSKIE.

Przy trakcie kałuszyńskim, zkąd się rozpoczyna
Prosta droga na północ, niegdyś stał grobowiec,
A na nim widniał napis: Niemy głazie! Powiedz
Giaurom: Tutaj mogiła Sułtańskiego syna!

Jeszcze lud nasz o jego świetności wspomina
I o gwałtach zarazem, ale dziś wędrowiec —
Gdzie był cmentarz — spostrzega już tylko manowiec
I tylko jeden wyraz na głazie: Ruina!

Przez dawny mur przechodzi teraz stado owiec —
Opodal szkielet koński... Może to wierzchowiec,
Ulubiony i wierny druh Muzułmanina?

Kędy pan, tam i sługa. — Prawdy więc się dowiedz —
Odpowie mój towarzysz — tu padł koń chudzina,
Którego Żyd na jarmark wiódł do Kałuszyna.

1902 r.

DŹWIĘKI TAJEMNICZE.

Pamięci
Adama Münchheimera

Szczęsny, zaiste — czyja pierś nie głucha
Na tajemnicze z poza świata dźwięki,
Kto od najrańszej żywota jutrzenki
W melodji falach kąpie swego ducha.

Szczęśliwszy — komu płyną tak do ucha,
Że z pod mistrzowskiej zaraz jego ręki
Wstają zaklęte w natchnione piosenki,
Których ochotnie serce każde słucha.

Lecz najszczęśliwszy — komu zawierucha
Potrzaska wszystkie klawisze lirenki,
Komu już obce tego świata jęki

I czyja pierś jak dzwon bez serca głucha,
Kto tu zostawił tajemnicze dźwięki,
A sam powrócił do ojczyzny ducha!

1905 r.

CHOINKA.

O, dzieci! patrzcie, co to wam
Kochany dziadzio niesie:
Choinkę tę on wybrał sam
Zśród najpiękniejszych w lesie.

Gałązek jej każdziutki ścieg
Od barw się tęczy mieni,
Bo rzucił nań zakrzepły śnieg
Najdroższych sznur kamieni.

A kiedy Drzewko Boże wam
Oczęta dziś omami,
To z pierwszą gwiazdką stanie Sam
PAN JEZUS między wami.

Maleńki znowu, jak w on czas
Pod Betlejem w stajence,
Do waszych serc wyciągnie wraz
Swe obie małe ręce.

Witając niby króle cne,
Jak do pastuszków rzeszy —
Wyciągnie do was rączki swe
I dusze wam ucieszy.

I skarby szczęścia rzuci Sam
Na waszą życia drogę...
O, dzieci! dziś zazdroszczę wam,
Że z wami być nie mogę.

1905 r.

Do

D E O T Y M Y.

Odchodzącej w zaświaty.

Gdy ci Bóg złotostrunną harfę dał do ręki
I kazał stać na straży ojczystego znicza —
Zapatrzona w przejasne słońce Mickiewicza
Rozjaśniałaś nam dusze słonecznemi dźwięki.

Kiedyśmy zaś drętwieli pod przeszłości pleśnią —
Rozwarła się przed tobą sama jej mogiła,
A tyś z niej Sobieskiego szablę wydobyła
I serca nam rycerską hartowała pieśnią.

I biegła pieśń orężna od sioła do grodu
I przejrzały się w onej jak w srebrze zwierciadła
Prawdziwe polskie serca, tyś bowiem odgadła
Piastowską orlą duszę polskiego narodu!

Pękły struny twej harfy, wypadł oręż z dłoni
I wieszczy duch uleciał w cudów kraj daleki;
Ale twoja pieśń będzie grała nam przez wieki,
Aż wielki dziękczynienia Bogu hymn wydzwoni!

23 września 1908 r.

RYNGRAF.

A gdy pójdziesz w walk odmęty,
Niech przed kuli wroga trafem
Wizerunek Matki Świętej
Będzie piersi twej ryngrafem.

Choćby zewsząd kule biły —
Ryngraf oręż nad oręże:
Czarcie go nie zmogą siły,
Wróg cię przezeń nie dosięże.

Ryngraf — święta broń rycerzy,
Co odwraca śmierci klęski;
Niech twój duch weń święcie wierzy,
A powrócisz z walk — zwycięski!

1920 r.

DOM AKADEMICKI.

Z krainy snów, mamideł,
Gdy przyszedł wiosny czas,
Z pod białych matki skrzydeł —
Poleciał każdy z nas
Do Matki Akademji
Pod złoty wiedzy dach —
Gwiazdami jej złotemi
Ojczyzny wieńczyć gmach.

Jak kielnią rozważaniem
Sięgamy głębin ksiąg,
Wiązanie za wiązaniem
Już snuje nam się z rąk...
Gdy nagle wieść hjobowa
Uderza w nas jak grom:
„Lwów ginie! — Hej, dla Lwowa
„Rzuć matki, wiedzy dom!

„Tam bój już na ulicy
I z dziatwą walczy sicz...
„Za broń, akademicy,
„Tam Polski gaśnie znicz!".
Rzucamy Akademję,
Do boju, dosyć słów!...

Zbroczyliśmy krwią ziemię,
Lecz nasz! ocalał Lwów!

Wracamy, rozważaniem
Sięgamy głębin ksiąg,
Wiązanie za wiązaniem
Już snuje nam się z rąk...
Blask nagle błysnął krwawy,
Wieść bije w nas jak grom:
„Wróg tuż! — Hej, dla Warszawy
„Rzuć matki, wiedzy dom!

„Wkrąg walą Bolszewicy,
„Już przepłynęli Bug!
„Za broń, akademicy,
„Nad Wisłą znowu wróg!".
Rzucamy Akademję,
W bój ksiądz, skaut, szlachta, lud!...
Zbroczyliśmy krwią ziemię,
Lecz cud nad Wisłą, cud!

Warszawa ocalona!
Ojczyzny rośnie gmach...
Niech wiedza go dokona —
Gwiaździsty będzie dach.
Do Matki Akademji
Wracamy — przednia straż,
Obrońcy ojców ziemi!
Lecz kędyż dom jest nasz?

Obrońcy Polski gmachu,
Jak w dniach niewoli złych,
Znów mamyż być *bez dachu*,
Lub zamieszkiwać *strych*?
Lub ślepnąć gdzieś *w piwnicy*,
Nim ksiąg zgłębimy treść —
Polscy akademicy,
Co mamy *światło* nieść?

Narodzie, hej, Lechicki!
By szczęściem zakwitł kraj —
Na *Dom Akademicki*,
Nie szczędząc grosza, daj!

1921 r.

PRZED DROGĄ.

Sam jestem w swem mieszkaniu — wkoło mnie
[nikogo;
Gwar miejski zmilkł, uśpiony ciszą nocy błogą;
W milczeniu cyk zegarka, bicie serca słyszę...
Na chwilę jeno tramwaj dzwonkiem przerwie ciszę,
Zabrzęczy w oknie szybą dorożka, lub domem
Zatrzęsie starym, hucząc, samochód jak gromem.

Sam jestem w swem mieszkaniu — wkoło mnie
[nikogo;
W przededniu letnich na wsi wywczasów przed drogą
Wybieram co konieczne będzie mi w podróży,
Zważając, by sak nie był za ciężki, za duży;
Co wybrać — nie poradzi nikt i nie pomoże,
Chyba rodzic z portretu natchnie mnie w wyborze!

Na dworcu kolejowym pociąg już pod parą
Drży, tętni... Między ciżbą publiczności szarą
Serdeczne uściśnienia i „Bądź zdrów!" „Bądź zdrowa!"
„A pisuj!" „Do widzenia!". Nie dla mnie te słowa;
Niczyja ręka z moją nie złączona dłonią —
Z portretu matki oczy jeno mnie tu gonią!

1922 r.

BŁAWATKI.

Gdy spojrzałem w twe oczy modre jak bławatki —
Zdało mi się, że widzę błękit nieba czysty,
A to było odbicie duszy z wiejskiej chatki.
Gdy słuchałem twej mowy jak od łez srebrzystej —
Zdało mi się, że słyszę dzwonka głos o świcie,
A to z pod strzechy wiejskiej było serca bicie!
Nieustannie wciąż dzwoniąc, niech twe serce budzi
Miłość bratnią, uśpioną jeszcze w sercach ludzi;
Choć nieraz szarą troską życie się zachmurzy —
Miej w duszy błękit niebios nawet podczas burzy!

* * *

Jeżeli w samotności, śród wieczornej ciszy,
Swe imię niespodzianie serce twe usłyszy —
Nie dziw się, że nie ujrzysz w chwili tej nikogo.
Czyż w noc ciemną nie poznasz kwiatu po zapachu?
To mój głos cię doleciał krótką myśli drogą,
Choć tak bardzo zdaleka zawołałem . . . . . !

DWA WIEŃCE.

Niewiadoma, choć może znajoma mi ręka
Złożyła wieńce dwa na mych rodziców grobie.
Nie wiem czyja, lecz pewno trudu się nie lęka,
Jak ja czuje i myśli nie tylko o sobie.
Umaiła dom, w którym, gdy się skończy męka
Zwana życiem, zamieszkać już się dziś sposobię,
Uwieńczyła zaś pięknie, czyniąc tak niekłamnie,
Nie tylko dla najdroższych moich, lecz i dla mnie.
I oto nagle łza mi zasłoniła oko,
Ściemniał świat, chociaż słońce jaśniało na niebie,
I smutek wdarł się mrokiem w serce me głęboko.
Zdało mi się, że jestem na własnym pogrzebie,
Grudka ziemi na trumnę mą pada opoką,
A ja w rozpacznym szlochu opłakuję siebie,
Bo Pan mi darów nieba udzielił obficie
I możem je roztrwonił i zmarnował życie?
O, niech błogosławiona będzie owa ręka,
Co kiedyś zapomnianej wyrwie mnie mogile!
Przed Trybunałem Boga duch mój z wiarą klęka;
Nie były dni żywota mego jak motyle,
Chociaż na ustach moich brzmiała wciąż piosenka —
Nie straciłem żywota, gdym zyskał choć tyle,
Że mnie uścisk przyjaznej dłoni przeprowadzi
W ostatnim dniu w zaświaty, do Bożej czeladzi.

1930 r.

ZWYCIĘZCA.

Gdy stanął w słonecznem wkrąg złocie,
Wywiódłszy samolot z hangaru —
W lotniku szalona myśl błyska
O locie
Do słońca, by oko mu w oko
I twarzą w twarz spojrzeć raz zblizka,
I płonąć śród niebios pożaru
Wysoko.
Hej, w górę, choć czeka nadludzka tam praca
W lotnika wstąpiły olbrzymów dziś moce!
Już warczy silnica i śmigłem obraca,
Po ziemi się tocząc, samolot turkoce,
Odrywa się, wznosi nad domy, świątynie;
Nie widzi już lotnik ni wież, ani krzyży,
Zapada się ziemia i z oczów mu ginie
Wraz z słońcem za chmurą. On wznosi się wyżej
I chmurę przebija. Rozkoszna to jazda...
Znów słońce! Ach, lecieć tak choćby bez końca
Do słońca!
I orzeł na skale porywa się z gniazda —
Król ptaków,
Swobody, przestrzeni powietrznych i szlaków;
I jego dziś kuszą słoneczne mamidła,
Srebrzyste wspaniałe rozwinął więc skrzydła
I leci nad turnie śnieżyste, mknie w górę
Nad chmurę...

Lecz tarczę mu słońca samolot zasłania...
Pod gwiazd najczujniejszą, choć nie widną strażą,
Lotniku, nie ujdziesz ty z orłem spotkania!
Już orzeł się zbliża, lotnika dogania...
Już obaj zrównani, a teraz się ważą...
Wtem skrzydło orłowe w samolot uderza —
Samolot się chwieje —
Och, runął! Runęły lotnika nadzieje!
Ach, orle zwycięzki, zabiłeś rycerza!
Spójrz na dół: skrwawiony trup leży na skale
I może zazdrości twej chwale...
Lecz orzeł ni wzroku, ni lotu nie zniży —
Król ptaków,
Swobody, przestrzeni powietrznych i szlaków,
Choć ranny — on leci wciąż wyżej...
Gdy nagle — znów kto się oderwał od ziemi?
Cień — lecz z tęczowemi
Skrzydłami i wznosi się w górę
Nad chmurę,
Nad orła!... i kto mu znów słońce zacienia?
O, ptaku królewski, nie ziścisz marzenia.
Wzrok orli okryje się serca żałobą,
Daremnie krwią skrzydło ocieka...
Choć leciałbyś, leciał i leciał bez końca
Do słońca —
Przed tobą
Już będzie zwycięzka tam dusza człowieka!

1931 r.

[illegible]

ŁASZCZYŃSKI

PIEŚNI

POEZJE

DO DZIEWCZĘCIA.

Muzyka Tadeusza Niewiarowskiego.

Ej, dzieweczko, poziomeczko,
Zapatrzona w dal —
Powiedz szczerze, w dobrej wierze:
Ty masz w sercu żal?

Choć do twarzy, gdy się marzy,
A łza w oczach drży —
Powiedz szczerze, w dobrej wierze:
Co twe znaczą łzy?

Zdrowaś, młoda, twa uroda
Słynie w całej wsi —
Powiedz szczerze, w dobrej wierze:
Czegóż to brak ci?

Czegoć trzeba: gwiazdki z nieba —
Masz ich w oczach dwie!
Chcesz korony — i bez onej
Młódź królewnąć zwie!

Pragniesz złota — wyjdź za wrota,
Zboże w snopy wiąż!

Żądasz kwiatków, czy bławatków —
Stąpasz po nich wciąż!

Ej, dzieweczko, poziomeczko,
Ja to raczej śnię...
Powiedz szczerze, w dobrej wierze:
Chłopca chcesz — masz mnie!

1890 r.

PIOSENKA GÓRALSKA.

Muzyka Feliksa Starczewskiego.

Jam pastuszek, dziecię gór,
U stóp moich szumi bór,
Wierzchołkami szumi drzew,
Gdy rozlega się mój śpiew:
Jestem dziecię gór!

Gdy na górski wejdę szczyt,
Aby dzienny ujrzeć świt,
Słońce naprzód wita mnie,
Tu ostatnie blaski śle —
Na najwyższy szczyt!

Jam przyrody władca, król,
Gór i dolin, łąk i pól,
I pałaców, jak i chat,
U stóp moich cały świat —
Jam przyrody król!

Kryształowy wody zdrój,
Tu początek bierze swój
I z łoskotem morskich fal

Płynie rzeką w równin dal —
Kryształowy zdrój!

Płyń, rzeczułko, wietrze, wiej,
Nie zagłuszysz piosnki mej:
Czy na stokach szumi bór,
Czy wre burza pośród gór —
Słychać moje hej!

1892 r.

HEJ NA ŁÓDŹ!

Muzyka Adama Münchheimera.

Na łódź, na łódź,
Co z wiatrem się kołysze,
By fale pruć
I płynąć w dal i ciszę —
Na łódź, na łódź,
Hej, śpieszmy, towarzysze!

Wiślanych fal
Melodja płynie cicha
W Baltyku dal,
Jak pacierz z celi mnicha —
Wiślanych fal
Swobodą pierś oddycha.

Sursum corda, górą wiosła,
By nas fala sama niosła
Wzdłuż nadbrzeżnych pól kobierca —
Górą wiosła, górą serca!

Dzwoń, dzwonie, dzwoń
Z Bielańskich wież kościoła,
Przez wodną toń
Twój głos tak mile woła —
Dzwoń, dzwonie, dzwoń,
Twój głos to głos anioła.

Niech bije grom
Na rozkaz chmur Mocarza!
Nas tylko srom,
Niesławy cień zatrważa —
Niech bije grom,
Nie zadrży pierś wioślarza!

Sursum corda, górą wiosła,
By nas fala sama niosła
Wzdłuż nadbrzeżnych łąk kobierca —
Górą wiosła, górą serca!

Na łódź, na łódź,
Co z wiatrem się kołysze...
„A wróć nam, wróć!"
Na pożegnanie słyszę —
Na łódź, na łódź,
Hej, śpieszmy, towarzysze!

1899 r.

OPUSZCZONA.

Muzyka Tytusa Mikulskiego.

Wieś złociły jasne zorze,
Wstając rankiem z poza kniej;
Mnie olśniewał w wiosny porze
Żar miłości twej.

Przyszła jesień polem, łąką,
I stanęła wioska w mgle —
W dal odeszło moje słonko,
Opuściło biedną mnie.

Wrócił maj i znów przede mną,
Pragnąc olśnić, stoisz ty...
Daremny trud: w mej duszy ciemno,
Moje oczy słonią łzy.

Kochające moje serce,
Skarb mój cały wziąłeś sam...
Sama z sobą dziś w rozterce,
Cóż ci teraz biedna dam?

Nadaremnie swoje dłonie
Znów wyciągasz do mnie ty:
Okropna pustka w mojem łonie —
Weźmiesz chyba moje łzy.

1904 r.

SZTANDAR POLSKI.

Muzyka Adama Elertowicza.

Ojczyzna nasza święta,
Chrześćjaństwa przednia straż —
Niech każdy z nas pamięta,
Że polski sztandar nasz!

Amarantowo-biały
Lechitów wolnych znak,
W królewskim wieńcu chwały
Wolności biały ptak.

Za wolność wszech i naszą
Wiódł Polskę z Litwą wraz,
Grunwaldu kwiaty kraszą
Po wieczny go już czas.

Ojczyzna nasza święta,
Wolności przednia straż —
Niech każdy z nas pamięta,
Że polski hejnał nasz!

Miłości pełen Bożej
Lechitów wolnych śpiew

Ze wstaniem rannej zorzy
Do nieba płynie stref.

Z Marjackiej cudnej wieży,
Odgłosem śnieżnych Tatr,
Do Kaszub go wybrzeży
Nad Bałtyk niesie wiatr.

1905 r.

HASŁO KOŚCIUSZKI.

Muzyka Wiktora Rapackiego.

Chcesz tu wolnym być na ziemi,
By jak anioł w Bożem niebie
Nie mieć wyższych ponad siebie,
Prócz jednego Boga —
Walcz z mocami piekielnemi,
Niechaj praca wszech modlitwą,
Twoje życie będzie bitwą,
A zwyciężysz wroga!

Pragniesz szczęścia całej ziemi,
Co ci ojce przekazały,
By ludzkości służyć całej
Dla jednego Boga —
Walcz z mocami piekielnemi,
Niechaj praca wszech modlitwą,
Twoje życie będzie bitwą,
A zwyciężysz wroga!

Chcesz tu wolnym być na ziemi,
By jak anioł w Bożym domu
Nie podlegać już nikomu,
Prócz jednego Boga —

Walcz z mocami piekielnemi,
Niechaj praca wszech modlitwą,
Twoje życie będzie bitwą,
A zwyciężysz wroga!

A gdy wrócą dni szczęśliwe,
Iszcząc błogą nam nadzieję,
Kiedy wszelka moc struchleje,
Prócz jednego Boga —

Hej, na nową życia niwę
Wyjdź z lemieszem, zbrojny piórem,
Pracuj społem zgodnym chórem,
A zwyciężysz wroga!

PIEŚŃ O BARWACH.

Muzyka Adama Elertowicza.

Karmazyn, biel i zieleń,
Trójtęczę *Patrji* barw —
Śpiewajmy śród weseleń
Na strunach piersi harf.

Podajmy bratnie dłonie,
Śród druhów dobrze tak —
Karmazyn niech nam płonie,
Hej, na *przyjaźni* znak!

By dusza była zdrowa,
Słoneczny życia cel —
Niech *prawdą* nasza mowa
Jaśnieje niby *biel*!

Nauczył Poniatowski,
Jak honor Bogu nieść —
Niech *zieleń*, kojąc troski,
Uwieńczy skroń, da *cześć*!

PIEŚŃ MŁODEJ POLSKI.

Muzyka Adama Elertowicza.

Rodacy! Rodacy!
Ojczyzna wzywa nas:
Do pracy, do pracy —
W młodości bujny czas!

Łączmy serca, łączmy dłonie
W dzielnych czynów zgodne żarna,
Siejmy w każdem ludzkiem łonie
Wzniosłych myśli zdrowe ziarna!

Rodacy! Rodacy!
Ojczyzna wzywa nas:
Do pracy, do pracy —
W młodości piękny czas!

W przyszłość idzie Polska młoda,
To jej wola apostolska,
By w narodzie była zgoda,
A szczęśliwa będzie Polska!

SPIS RZECZY:

I. Rapsody.

II. Wysoki próg.

III. Moje drogi.

IV. Poeta i miłość.

V. Wiersze niecenzuralne.

VI. Z niewoli do wolności.

VII. Posąg słońca.

VIII. Wiersze różne.

IX. Pieśni.